

GALLET LOUIS

KAPITAN CZART.

PRZYGODY CYRANA DE

BERGERAC

Gallet Louis
**Kapitan Czart. Przygody
Cyрана de Bergerac**

*http://www.litres.ru/pages/biblio_book/?art=23530866
Kapitan Czart. Przygody Cyрана de Bergerac:*

Аннотация

Ciesz się klasyką! Miłego czytania!

Содержание

I	4
II	12
III	18
IV	22
V	31
VI	41
VII	50
VIII	66
IX	87
X	101
XI	110
XII	121
XIII	137
Конец ознакомительного фрагмента.	139

Louis Gallet

Kapitan Czart. Przygody Cyrana de Bergerac

I

O późnym wieczorze¹ jednego z dni październikowych tysiąc sześćset pięćdziesiątego pierwszego roku z bramy zamku Fougerolles, w prowincji Perigord, wymknął się jeździec i pocwałował drogą biegnącą wzdłuż rzeki Dordogne.

Ostry wiatr zaciął go jak biczem po twarzy, podróżny wszakże nic sobie z tego nie czynił. Wytrzymał odważnie natarcia burzy i krzepko a prosto usadowiony w siodle przedzierał się naprzód jak błędny rycerz unieruchomiony w swej zbroi.

Niejeden, widząc go o tej porze i w taką nie pogodę na drodze prawie nieuczęszczanej, pomyślałby, że to zbieg jakiś i hultaj na cudzy worek dybiący.

W rzeczywistości jednak człowiek ten ani ukrywał się przed nikim, ani też na niczyją krzywdę nie czyhał.

Po godzinie drogi jeździec skręcił z gościńca na dość wąską ścieżkę pomiędzy dwoma wzgórzami. Po obu jej stronach rosły

¹ o późnym wieczorze – dziś: późnym wieczorem. [przypis edytorski]

gęste krzaki jałowca i tarniny, nie brakło też drzew do połowy z liści огоłoconych. Jeździec zwolnił biegu i zacinając batem gałęzie zwieszające mu się nad głową, głosem czystym, choć niemiłosiernie fałszywym, zaśpiewał następującą piosenkę, która wówczas była jeszcze wielką nowością.

Oplakana to jest dola
Nie mieć zdrowia i pieniędzy,
Lecz gdy biedak zdrów i wesół,
Jest bogaczem mimo nędzy...
Za Luwr mi poddasze stanie,
Z płaszczem mam strój i poślanie.
Nie znam, gardząc bogactw marą,
Co to przed złodziejem trwoga;
Pułap jest moją kotarą,
A materacem – podłoga!

Wydobyszy się z ciasnego przesmyku, śpiewak znalazł się tuż na brzegu rzeki, przy drodze holowniczej, która zawieść go miała prosto do przewozu, naprzeciw wioski Saint-Sernin.

Spoza szanica wzgórz wysunął się właśnie księżyc.

Przy niepewnym jego świetle podróżny dostrzegł o kilka kroków przed sobą stojącego nieruchomo człowieka.

W rękach tego człowieka błysnęła lufa muszkietu.

W chwili gdy jeździec, zdający się lekceważyć to spotkanie, znalazł się o dwa kroki od nieznanego, tamten zagroził mu drogę.

– Litości, wspaniały szlachcicu! – zawołał głosem żebrzącym.

– Hola! – odparł jeździec, przedrwiwając. – Zdaje mi się, kochanku, że coś za ciężko obładowałaś się jak na żebraka!

I końcem bata uderzył go po muszkiecie.

– Drogi nie są teraz bezpieczne, jasny panie! – zauważył tamten, tłumacząc się.

– Ba, toć chyba nie masz nic do stracenia!

– Przeciwnie!

Po tym niespodziewanym słowie, które jakby nieumyślnie z ust mu wybiegło, ozwała się ponownie prośba, ale tym razem utrzymana w tonie szyderskiej² pogrózki.

– Litości, wspaniały szlachcicu!

– Do kroćset! Sądzić by można, że żądasz raczej kieski albo życia!

– Jeśli waćpan wolisz, niech i tak będzie!

I muszkiet, szybkim ruchem uniesiony, znalazł się przy piersiach podróznego.

– Ha, ha, argumenty twoje są bardzo przekonywające! – zaśmiał się ten ostatni. – Ale poczekaj cokolwiek.

W tej chwili odtrącił broń, zeskoczył z siodła i chwycił opryszka za gardło.

Trzymał go tak czas pewien, a gdy spostrzegł, że w tym potężnym uścisku dusić się zaczyna, i że z bezwładnej ręki muszkiet mu już wypadł, puścił gardło, a ujął ręce i z całej siły jął chłostać go batem po plecach.

² *szyderski* – dziś: *szyderczy*. [przypis edytorski]

Nigdy jeszcze najleniwszy i najkrnąbrniejszy chłopiec z bakalarni³ nie otrzymał tak energicznego upomnienia.

Zbój osunął się na kolana i błagać zaczął zmiłowania.

– Mógłbym ci łeb roztrzaskać, gdybym był w pasji, lub też zapędzić cię do Fougerolles, aby cię tam obwieszono – mówił szlachcic. – Dziękuj diabłu, swemu orędownikowi, że cię tym razem puszcza na wolność. Jednak radzę ci, błaznie, przypatrz mi się dobrze, abyś brał nogi za pas, ile razy spotkasz mnie i poznasz. Inaczej za nic nie ręczę!

Opryszek, nie wstając z kolan, podniósł na swego zwycięzcę czarne, przenikliwe oczy i płomień nienawiści zabłysnął w jego źrenicach, gdy przy bladym świetle księżycy rozpoznał szydzącą twarz podróżnego. Podróżny nie zaniedbał ze swej strony zapisać sobie w pamięci ohydnych rysów hultaja, przez które przeziarała w tej chwili tłumiona wściekłość w połączeniu z przemagającym ją bólem.

– Poznam cię, jasny panie – mruknął wreszcie dziwnym głosem. – Pozwól mi teraz odejść.

Podczas gdy fałszywy żebrak dźwigał się z ziemi, rozcierając obite boki, podróżny podniósł upuszczony muszkiet, ujął go za koniec lufy i wykręciwszy nim kilka młynców w powietrzu, cisnął z rozmachem w rzekę.

Zrobiwszy to, dosiadł konia i odjechał galopem, pozostawiając napastnika ogłupionego tą osobliwą przygodą. Stanąwszy u przewozu, huknął na przewoźników i w dziesięć minut później

³ *bakalarnia* – tu: szkoła; por.: *bakalarz*: daw. nauczyciel. [przypis edytorski]

cwałował już wzdłuż lewego brzegu rzeki.

Uniósł się w strzemionach i wyteżył wzrok ku Saint-Sernin.

W najwyższym z domów sioła⁴ płonęło światło, z komina zaś buchał dym rudawy, dym kuchenny, którego widok przywołał na usta jeźdźca uśmiech zadowolenia.

Był to dom Jakuba Szablistego. Człowiek jednak, co nosił to imię wojownicze, rasę żołnierską ujawniające, zerwał z przodków swych rzemiosłem. Szablisty zajmował pokojowe stanowisko proboszcza.

Atletyczne członki duchownego wykreślały się energicznie pod ciasną sutanną, twarz jego mięsistą, czerstwą, otaczał wieniec czarnego, kędzierzawego zarostu, miał on minę pewną siebie, głos donośny, siłę i zwinność lwa, mimo to wszystko było jednak widoczne, że jest łagodny i prosty jak dziecko.

Podczas gdy podróżny przewoził się na promie, proboszcz, wyszedłszy do kuchni, napędzał do pośpiechu swą gospodynię uwijającą się przy garnkach i rondlach.

– Joanno, już ósma! – powtarzał niecierpliwie. – Joanno, nie zdążysz ze szczupakiem! Sawiniusz za kwadrans już tu być powinien.

– Słyszałam już to, słyszałam... Nie ma o co gwałtować... – mamrotała gniewnie gospodyni. – Szlachcic może trochę poczekać... dziura w niebie przez to się nie zrobi... A w końcu – dodała głośniejszym, z ruchem zniecierpliwienia – oświadczam jegomości, że czy tak, czy owak, nie podam na stół, dopóki

⁴ *sioło* – wieś. [przypis edytorski]

wszystko nie będzie zrobione jak się patrzy...

Ironiczny ukłon zakończył tę przemowę, po której wysłuchaniu ksiądz Jakub, przeświadczony o swej niższości, opuścił głowę na piersi i drobnym kroczeniem podreptał do jadalni.

Stół był nakryty. Budzący uszanowanie rząd butelek wychylał omszone główki z kredensu. Aby baterii tej dosięgnąć, nie trzeba było wstawać z miejsca, wystarczyło rękę za siebie wyciągnąć. Brakło jedynie gościa.

Zegar na wieży wiejskiego kościółka wybił kwadrans na dziewiątą⁵. Jakby w odpowiedzi zadźwięczał szarpnięty silnie dzwonek u drzwi wejściowych.

– To on! – wykrzyknął proboszcz.

Pobiegł do drzwi, otworzył je na całą szerokość i rzucił się w objęcia przybyłego.

– Na mękę i śmierć Zbawiciela! – zawołał ten ostatni, pozwalając ocałowywać⁶ sobie policzki – twoja wieczerza, mój bracie, jest pyszną rzeczą na dzisiejszą zawieruchę! Z kuchni twej zalatuje zapaszek trufli i dziczyzny, który sprawia prawdziwą oskomeń i daje przecucie prawdziwie rajszych rozkoszy.

– Siadajmy do stołu, kochany Sawiniuszu! – odrzekł lakonicznie ksiądz, odgadując stan tego żołądka podnieconego

⁵ *kwadrans na dziewiątą* – piętnaście minut po ósmej; kwadrans po ósmej. [przypis edytorski]

⁶ *ocałowywać* – dziś: obcałowywać. [przypis edytorski]

długą jazdą.

Zdjął z ramion gościa płaszcz, rozwiesił go przed ogniem płonącym wesoło na kominku i grzmiącym głosem oznajmił Joannie, że tylko na nią oczekują.

Szlachcic zasiadł wówczas naprzeciw proboszcza i obaj biesiadnicy zabrali się żwawo do należytego uczczenia przygotowanych przez gospodynię potraw, nie szczędząc sobie wzajem przyjacielskich wynurzeń. Sawiniusz i Jakub byli braćmi mlecznymi, kochali się jednak jak bracia rodzeni.

– Posłuchaj – odezwał się nagle przybysz, zatapiając nóż w pasztecie aż czarnym od trufli perigordzkich. – Nie przybyłem do ciebie wyłącznie na wieczerzę. Mam pomówić z tobą o sprawach wielkiej wagi.

– Jestem do usług twych – odrzekł ksiądz. – Odczytawszy list twój, zaraz domyśliłem się, że musiało zajść coś ważnego. Mów zatem.

– Odłóżmy to do wetów, a teraz, jeśliś łaskaw, przysuń mi tego szczupaka, który ma pozór tak czcigodny.

– Jest to, mój kochany Sawiniuszu, triumf mojej Joanny. Nieczęsto jada się taką rybę.

– Do licha! Czyżby należała ona do istot bajecznych?

– Bynajmniej. Jest to szczupak jednooki z jeziora Fonta, którego proboszcz tamtejszy przysłał mi na uczczenie kochanego gościa.

– Cudownie! Jednooki czy dwuoki, smakuje przewybornie, a te grzyby z białym winem czynią go prawdziwie boską potrawą!

Uczta zakończyła się wesoło. Ale zaledwie Joanna zdjęła obrus i postawiła na stole butelkę likieru z Armagnac oraz przyniosła na błyszczącej metalowej tacce dwa małe kieliszki, Sawiniusz od razu spoważniał.

Przełknął kilka kropli starego likieru, po czym, wspierając się o stół łokciami i zatapiając przenikliwe spojrzenie w oczach przyjaciela, rzekł:

– Czy pozwolisz, Jakubie, abyśmy pomówili teraz o sprawach poważnych?

II

Proboszcz skinął głową na znak przyzwolenia, a twarz jego przybrała ten sam wyraz uroczysty, co twarz gościa.

– Przysiągłeś mi kiedyś, Jakubie – zaczął ten ostatni – że będziesz szczęśliwy, oddając w potrzebie życie swe na moje usługi.

– Rozporządzaj nim, przyjacielu. Każdej chwili gotów jestem dotrzymać owej przysięgi.

Ręka szlachcica wyciągnęła się w stronę księdza, który ścisnął ją tak krzepko, że Sawiniusz nie mógł powstrzymać się od uwagi:

– Do licha! Oto dłoń, która nie puści łatwo tego, czego strzec się podjęła!

I ruchem wykwintnym otrząsnął bolące palce.

– Masz zatem do powierzenia jakiś depozyt? – zapytał ksiądz Szablisty.

– Depozyt drogocenny, którego w potrzebie wypadnie bronić z zaciętością smoka strzegącego zaklętych skarbów.

Oczy Jakuba zapłonęły. W milczeniu wskazał młodzieńcowi długi rapier wiszący w ciemnym kącie izby.

– Rodzinna pamiątka – rzekł z naciskiem. – Umiem jeszcze jako tako z nią się obchodzić.

– Ho, ho, pamiętam dobrze, jakie pyszne lekcje szermierki odbierałem od ciebie, gdyśmy jeszcze obaj byli dzieciakami! Ach, jaka szkoda, że i ty również nie zostałeś żołnierzem!

– Bóg powołał mnie do czego innego – odrzekł ksiądz, spuszcżając oczy, w których zamigotała błyskawica. – Mów dalej, Sawiniuszu.

Szlachcic zdawał się przez chwilę namyślać.

– Wolałbym – podjął wreszcie z wolna – wolałbym ci oszczędzić trudów i niebezpieczeństw przywiązanych do tego zadania, ale... gdzie znajdę duszę tak dzielną i prawą jak twoja? Gdzie znajdę serce równie szlachetne i godne zaufania, które by przyjęło powierzoną sobie tajemnicę, nie wglądając, jakie jej źródło i co w sobie zawiera? W podobnej okoliczności mogłem myśleć tylko o tobie.

– Jestem ci za to wdzięczny, Sawiniuszu.

– Posłuchaj zatem. Zlecenie, którym pragnę cię obarczyć, ja sam otrzymałem od kogoś innego, komu przysięgłem, że je przeprowadzę pomyślnie. Nieobce ci moje życie, oddane w zupełności burzom losowym i przygodom. Dziś, jutro lub pojutrze kula czyjaś położyć mnie może trupem albo pchnięcie czyjejsz szpady zapłaci mi od razu za wszystkie pchnięcia, jakie inni ode mnie dostali.

– Niech ci je Bóg przebaczy! – szepnął pobożnie proboszcz.

– Otóż – ciągnął Sawiniusz – z moją śmiercią depozyt, który przyjąłem, wpadnie w ręce obce, może obojętne, a może, co gorsza, takie, którym zależeć będzie na jego posiadaniu. Przypadku tego lękam się, a ty jedynie możesz mnie od niego zabezpieczyć, wspomagając mnie rozumem swym i siłą. Gdy już co do tego będę upewniony, niech co chce dzieje się ze mną, nic

mnie już los osobisty nie obchodzi. Umrę spokojny wiedząc, że ty mnie zastąpisz.

– Czy chodzi o testament? – zagadnął proboszcz, zdziwiony wstępem tak uroczystym.

Szlachcic uśmiechnął się.

– Testament! Mój testament!... Alboż myśli się o testamentach, nosząc całe mienie przy sobie, za przykładem filozofa Biasa?...

– Cóż to więc takiego?

– Już ci powiedziałem. Spełniam zlecenie dane mi przez inną osobę.

Jakub Szablisty zwrócił na przyjaciela wzrok ciekawy i pytający.

Sawiniusz zrozumiał milczące żądanie. Z kieszeni kaftana wydostał złożony pergamin, owinięty w zielony jedwab, z wielką pieczęcią, która musiała być świeżo odcisnięta, zalatywał bowiem od niej jeszcze ostry zapach wosku. Arkusz ten nie nosił żadnego napisu, pieczęć nie była opatrzona żadnym herbem. Widniały na niej tylko dwie litery C i B, dziwnie ze sobą splecione, na tle posianym gwiazdami.

Z pierwszego zatem wejrzenia tajemniczy pergamin niczego nie wyjaśniał zaciekawionemu proboszczowi z Saint-Sernin.

Sawiniusz podsunął dokument pod oczy przyjaciela i dotykając palcem pieczęci, rzekł:

– Jakubie! W tej kopercie zamyka się przyszłość pewnego człowieka, los całej rodziny, rozwiązanie tajemnicy życia lub

śmierci.

– Daj go – wyrzekł z mocą proboszcz.

Wyciągnął rękę i wziął cenny dokument.

– A teraz – Sawiniusz przy tych słowach powstał – posłuchaj, drogi Jakubie, czego od ciebie wymagam. Zatrzymasz ten pakiet u siebie aż do dnia, w którym albo ja sam upomnę się o niego, albo też dowiesz się na pewno, że umarłem.

– A w tym ostatnim wypadku? – zapytał Szablisty ze wzruszeniem.

– W tym ostatnim wypadku złamiesz pieczęć i znajdziesz wewnątrz skreślone moją ręką objaśnienie, co masz uczynić z innym pismem, również w tej kopercie zamkniętym, a opatrzonym oddzielną pieczęcią.

– A to objaśnienie?

– To objaśnienie odczytasz z największą uwagą, gdyż według niego będziesz mógł wypełnić, punkt po punkcie, moje zobowiązanie. Widzisz stąd, poczciwy Jakubie, że dopóki Bóg trzymać mnie tylko zechce na tym padole płaczu, twoja rola smoka nie będzie zbyt ciężką.

– To prawda.

– Ale za to – uśmiechnął się szlachcic, któremu powracał zwykły dobry humor – spadnie na ciebie kłopotów co niemiara, jeżeli jaki niegrzeczny człowiek powali mnie o ziemię z sześcioma calami żelaza w piersiach.

– Och, ja myślę, że ten człowiek jeszcze się nie narodził! – wtrącił proboszcz tonem dodającym otuchy.

– Kto wie! Na wszystko trzeba być przygotowanym.

Przy tych słowach wypróżnił kielich do dna z miną człowieka zadowolonego z siebie.

– Jeszcze słówko – wtrącił nieśmiało Jakub. – W przedsięwzięciu tak poważnym nigdy nie bywa się zanadto ostrożnym. Gdyby kiedykolwiek zjawił się kto, żądając w twoim imieniu zwrotu depozytu, jak mam postąpić?

– Choćby to był król, choćby to był papież, słyszysz, Jakubie? Król lub papież: odprawisz go z kwitkiem.

– A jeśli zechce użyć siły?

– Zabijesz go.

I wymownym spojrzeniem wskazał olbrzymi miecz zawieszony na ścianie.

Ani to słowo, ani to spojrzenie nie zdziwiły księdza. Były to czasy, w których brewiarz i szabla doskonale godziły się ze sobą.

Jakub poprzestał na ponownym uściśnięciu ręki swego mlecznego brata. Co się tyczy szlachcica, nie wątpił on już, że może być o swoją sprawę spokojny, ponieważ złożył ją w ręce człowieka, który mu nie uczyni zawodu.

Zegar kościelny wybił godzinę jedenastą. Sawiniusz odział się płaszczem i zabierał się do odejścia.

– Już mnie opuszczasz? – spytał Jakub.

– Tak.

– Dokąd się udajesz?

– Tam.

Sawiniusz wysunął rękę w kierunku okna i pokazał w

oddaleniu, po drugiej stronie rzeki, czarną sylwetkę zamku Fougerolles, wykreślającą się ostro na niebie rozjaśnionym przez księżyc.

Jakub nie pytał o nic więcej. Wiedział on niewątpliwie, jakie to sprawy powołują przyjaciela do zamku.

Poprzestał na zapytaniu:

– Zobaczymy się jeszcze?

– Niezawodnie.

– Kiedy?

– Przed wyjazdem do Paryża raz jeszcze wpadnę tutaj, aby cię uścisnąć.

Już od kilku chwil na dziedzińcu plebanii wierzchowiec szlachcica niecierpliwiał się i bił w ziemię kopytami.

Sawiniusz wyszedł, wskoczył na siodło i raz jeszcze powtórzywszy przyjacielowi swe upomnienie, puścił się galopem w stronę Fougerolles.

III

Gdy ścichł tętent kopyt końskich na krzemienistym gościńcu, proboszcz wrócił do izby i otworzywszy szafę dębową stojącą przy łóżku schował do niej starannie tajemniczy arkusz pergaminu.

Zrobiwszy to, ukłęknął i modlił się długo, prosząc Boga, aby wspomagał przyjaciela w niebezpieczeństwach, które mu zagrażają, a które wydawały się dobremu księdzu tym straszniejsze, że Sawiniusz pokrywał je zupełnym milczeniem.

Tymczasem jeździec szparko posuwał się naprzód. Dochodziła północ, gdy zatrzymał konia przed fosą zamku Fougerolles.

Mimo późnej pory nikt z ludzi zamkowych, jak się zdawało, nie spoczywał jeszcze.

Po długich sieniach snuli się pacholki ze światłem, służba to kupiła się, rozmawiając przyciszonym głosem, to znów w smutnym milczeniu przystawała u drzwi wiodących do pańskich komnat.

Sawiniusz wjechał na dziedziniec, rzucił uzdę jednemu ze służących i szybkim krokiem pobiegł na schody wiodące na pierwsze piętro. Na ostatnich stopniach spotkał burgrabiego.

– I cóż tam, mistrzu Caprais? – zapytał.

– Ach, drogi panie! – westchnął ów dzielny człowiek. – Źle, bardzo źle u nas!

Sawiniusz nie słuchał już więcej. Przyspieszył kroku i przeskakując po kilka stopni na raz, dostał się za chwilę do komnaty przepełnionej ludźmi.

W samym środku komnaty stało wielkie, dębowe łóżko, osłonięte⁷ w połowie ciężką, jedwabną kotarą, a na łożu tym umierał stary hrabia Rajmund de Lembrat, pan na Fougerolles i Gardannes.

Bezkrwista twarz starca odcinała się żółtawą barwą kości słoniowej od matowej bieli poduszek, ręce, skrzyżowane na piersiach, zdawały się już martwymi, posiniałe powieki przymknięte były do połowy na przygasłych źrenicach. Jedyne lekkie drzenie ust wskazywało, że dusza nie opuściła jeszcze w zupełności tego ciała, zmożonego wiekiem i chorobą.

Kapelan zamkowy klęczał w nogach łoża, odmawiając modlitwy. U wezglowia stał młodzieniec wyniosłej postawy, z miną również wyniosłą.

Młodzieniec był piękny, ale uroda jego miała w sobie coś brutalnego. Gdy wpatrywał się w twarz umierającego, oczy jego na chwilę nawet nie zwilgotniały; gdy zwracał się do służby zapelniającej na klęczkach komnatę, spojrzenie jego było zimne i przenikliwe jak stal. Silnie zarysowane kąciki ust oraz brwi niezmiernie ruchliwe i nieustannie ściągane kazały domyślać się w nim samowładnego i nieubłaganego pana. Żaden z przebłysków dobroci, które błyszczały w twarzy starca, przez nadchodzącą śmierć niezgaszone, nie opromieniał

⁷ *osłoniiony* – dziś: osłonięty. [przypis edytorski]

rysów młodzieńca. Był to syn hrabiego, dziedzic obszernych posiadłości Gardannes, Fougerolles i Lembrat.

Na widok wchodzącego Sawiniusza młodzieniec odszedł od łoża i postąpił kilka kroków ku drzwiom.

– Ojciec – rzekł głosem zniżonym – kilkakrotnie przyzywał cię, kochany Sawiniuszu.

– Zmuszony byłem opuścić Fougerolles na kilka godzin – odpowiedział ów takimże głosem. – Czy hrabia jest jeszcze w stanie słyszeć mnie?

– Spodziewam się, że tak, jakkolwiek choroba od chwili twego wyjazdu znaczne zrobiła postępy.

– Zbliź się do łoża, Rolandzie, i oznajmij ojcu moje przybycie.

Roland de Lembrat pochylił się nad ojcem i wymówił imię Sawiniusza. Oczy starca rozwarły się szeroko, trwożnym spojrzeniem poszukał przybyłego, a dostrzegłszy, dał mu znak, aby przystąpił do łoża.

Sawiniusz posłuchał wezwania. Hrabia ujął jego rękę i widoczne było, że wyteża siły, aby doń przemówić. W tejże chwili oczy jego spotkały utkwione weń spojrzenie Rolanda.

– Oddal się, Rolandzie – rzekł głosem lodowatym. – I ciebie, ojczy wielbny, proszę, abyś pozostawił nas samych.

Słowa ostatnie zwrócone były do kapelana.

Roland przygryzł usta z widocznym gniewem, a czoło jego pokryło się czerwonością. Odszedł jednak razem z kapłanem w głąbie obszernej komnaty, dokąd nie mogła już dojść przyciszona rozmowa Sawiniusza z umierającym hrabią.

– Słuchaj uważnie, co ci powiem – wyrzekł szeptem Rajmund de Lembrat.

Sawiniusz pochylił się tak nisko, że ucho jego dotykało prawie ust umierającego.

Jakie było to ostatnie zwierzenie, które wyszeptały stygnące wargi starca – nikt tego nie mógł odgadnąć. Kiedy jednak Sawiniusz wyprostował się, wszyscy mogli byli dostrzec, że oczy hrabiego napełnione są łzami. Długo, z wyteżoną uwagą, wpatrywał się on w swego syna, po czym z ust jego wybiegły dla Sawiniusza tylko dosłyszalne słowa.

– I to on ma być spadkobiercą Lembratów?

Silniejsze ściśnięcie ręki dało poznać Sawiniuszowi, że jego stary przyjaciel ma coś więcej jeszcze do powiedzenia. Hrabia próbował unieść cokolwiek ciężką jak z kamienia głowę i wskazując Rolanda ruchem niedostrzegalnym dla tamtych, szepnął w samo ucho Sawiniusza:

– Nie spuszczaaj uwagi z tego, przede wszystkim pamiętaj o tamtym!

IV

Szerokie wyłomy, których dokonuje Paryż współczesny wśród swych starych dzielnic, wydobyły niedawno na jaśnie⁸ pewien odwieczny budynek, uważany przez wielu za rzecz od dawna już nieistniejącą, a bardzo głośny i oblegany przez tłumy w epoce, gdy Corneille i cała plejada pomniejszych, dziś zapomnianych poetów uważali za największy zaszczyt widzieć dzieła swe w nim wystawione. Budynek ten to stary Pałac Burgundzki, w którym aktorowie⁹ królewscy dawali przedstawienia, ściągając na nie wszystkich smakoszków artystycznych z orszaku panującej wówczas Anny Austriaczki.

W tym zbornym punkcie dworskich wykwintnisiów przedstawiano owego wieczora *Agrypinę*, tragedię budzącą wiele hałasu wśród ówczesnych krytyków, którzy dopatrywali się w niej groźnych napaści na rząd i religię.

Widownia Pałacu Burgundzkiego była szczelnie zapełniona, tchnienie wojownicze przebiegało tłum świętny i gwarny. W jednym z zakątków parteru dwóch ludzi zdawało się przyjmować udział wyjątkowo żywy w tym ważnym wydarzeniu literackim. Jeden z nich wygwizdywał ze szczególną zaciętością wszystkie miejsca tragedii, które mu nie trafiały do przekonania. Drugi

⁸ *na jaśnie* – dziś: na jasność; na światło dzienne. [przypis edytorski]

⁹ *aktorowie* – dziś: aktorzy. [przypis edytorski]

poprzestawał na podkreślaniu uśmiechem miejsc dobrych, wzruszał zaś ramionami na każde gwizdnięcie towarzysza.

Przy końcu trzeciego aktu pierwszy nie mógł wytrzymać, aby nie podzielić się z kimś dławiącym go oburzeniem.

– Nieprawdaż, panie – rzekł, zwracając się do milczącego widza – że to budzi śmiech i litość.

– Śmiech i litość? – powtórzył tamten zimno. – I dlaczegoż to, jeśli łaska?

– Dlatego że, podług mnie, niepodobna w nędzniejszych rymach wyrazić myśli bardziej przewrotnych.

– Poczytujesz pan zatem autora za wielkiego winowajcę?

– Za heretyka, mój panie. Zasłużył, aby go wyklęto.

– Doprawdy?

– Alboż nie wygłasza rzeczy ubliżających w najwyższym stopniu naszej świętej religii?

– Musiałeś pan źle słyszeć. Oto, co mówi ten autor...

I sąsiad człowieka z gwizdawką jął deklamować całą tyradę z *Agrypiny*. Po tej pierwszej tyradzie nastąpiła druga, po drugiej trzecia... Coraz większy zapal ogarniał deklamatora.

– Ależ, panie! – zawołał tamten, zalany niepowstrzymanym potokiem poezji – jak mogłeś zatrzymać w pamięci tak wiele wierszy?

– Czy przyznajesz pan, że wiersze te nie są złe?

– Przyznaję.

– Czemuż zatem wygwizdywałeś je przed chwilą?

– Spójrzysz pan na publiczność... Bardzo wiele osób poglą

mój podziela!

– Biedacy! Gdy jeden osioł ryknie, inne mu zawsze wtórują...

– Panie, to wygląda na obelgę!

– Tak pan sądzisz?

– Jestem tego pewny.

– Tym gorzej dla pana. Ale sza!... Zaczyna się akt czwarty, trzeba słuchać z uwagą.

– Podzielam pańskie zdanie. Wrócimy do naszej sprzeczki za chwilę i poprowadzimy ją w inny sposób.

– Pan z prowincji? – zapytał szyderczo deklamator, usłyszawszy pogrózkę.

– Jestem margrabia de Lozerolles.

– Stara szlachta z Poitou! Ale przepraszam. Pozwól mi, mości margrabio, słuchać Sejanusa.

Na scenę wyszli aktorzy. Starcie musiało się zatrzymać na tym punkcie. Nie wynikał stąd zresztą żaden skandal, gdyż przeciwnicy prowadzili spór z wyszukaną grzecznością, jak przystało ludziom dobrze wychowanym.

Przy końcu sztuki przeciwnik margrabiego skinął na młodzieńca siedzącego o kilka miejsc dalej, który zbliżył się doń z pośpiechem.

– Hrabio! – rzekł do młodzieńca. – Czy chcesz być moim sekundantem?

– Dlaczego?

– Mam się bić.

– Tego wieczora?

– Za chwilę.

– Znów kłótnia! A nie zdążyłeś pan jeszcze opuścić sali!

– Nie potrzebowałem tego czynić, gdyż ten pan tu właśnie siedział!

Margrabia de Lozerolles, w ten sposób wywołany, skłonił się uprzejmie.

– Jaki powód?

– Niezmiernie prosty. Ten pan nazywa *Agrypinę* szkaradną, dla mnie jest ona piękną. Czyż nie uważasz, hrabio, powód ten za wystarczający?

– Najzupełniej!

– Chodźmy, panowie – wtrącił margrabia. – Pilno mi.

Lozerolles wynalazł natychmiast dla siebie sekundanta i czterej mężczyźni wyszli z pośpiechem na wąską uliczkę w sąsiedztwie Pałacu Burgundzkiego. Zaraz też, nie tracąc ani chwili, do szpad się wzięto.

– Do pioruna! – wykrzyknął margrabia, wymachując bezskutecznie szpadą dla zrobienia sobie drogi do serca przeciwnika. – Tęgi z pana szermierz!

– Doprawdy? A jednak zabawiam pana dotychczas tylko prowincjonalnymi figielkami.

– Ech, i z prowincjonalistów nie mańkuci! – odparł margrabia, płacąc za drwiny sztychem środkowym, w samo serce zmierzającym.

– Paryżanie tym bardziej! – rzekł tamten i odparowawszy cios, wykonał w tejże chwili pchnięcie tak niespodziane i tak

zarazem mistrzowskie, że spada przeszła ramię margrabiego, zanim jeszcze zdążył się zastawić.

Walka była skończona.

– Winszuję – rzekł ranny, podczas gdy zwycięzca najspokojniej chował szpadę do pochwy. – Ale to wszystko jedno. Wiersze w *Agrypinie* nie są przez to ani na jotę lepsze i raz jeszcze zapytać muszę pana, jakim sposobem umiesz ich tyle na pamięć?

– Bo jestem ich autorem, panie margrabio!

I pozostawiając margrabiego oszołomionego tym oświadczeniem, poeta, umiejący bronić honoru swych wierszy ostrzem szpady, oddalił się wsparty na ramieniu sekundanta.

Ten poeta nie jest dla nas obcy. Widzieliśmy go już przy stole proboszcza w Saint-Semin oraz u śmiertelnego łoża hrabiego de Lembrat.

Posiadał on – o czym trzeba powiedzieć zawczasu, gdyż stanowiło to znamię typowe tej pełnej charakteru fizjonomii – posiadał nos rozmiarów niezwykłych, nos ostro ścięty, rzucający cień na usta, słowem „nos bohaterski”, jak się wyraził jeden z jego biografów. Ten nos wydatny królował na twarzy o rysach prawidłowych i miłych, którą oświetlała para oczu czarnych i pełnych ognia. Brwi były zakreślone delikatnie, wąs, niezbyt gęsty, odsłaniał usta; włosy spadały czarną masą z obu stron wyniosłego, rozumnego czoła. Razem wzięwszy, był to wcale urodziwy młodzian, któremu w tej epoce szaleństw w dobrym smaku przyznano jedno z miejsc honorowych w gronie

wykwintnisiów i uczonych.

Rodowe jego nazwisko brzmiało: Sawiniusz de Cyrano. Znany był wszakże lepiej pod imieniem Cyrano de Bergerac, które przybrał dla odróżnienia się od brata i krewniaków.

Był autorem *Podróży na księżyc*, *Rozmów uszczypliwych* i *Agrypiny*, twórcą całej seciny¹⁰ żartobliwych wierszy i poematów, śmiałym i zaufanym w sobie filozofem; był także słynnym i nieustraszonym pojedyńkarzem oraz bohaterem tysiąca przygód. Nosił ze dwadzieścia zaszczytnych przezwisk, między innymi: „Nieustraszony”, „Demon brawury”, „Kapitan Czart” – lud zachował zwłaszcza w pamięci to ostatnie przezwisko, wielu też ludziom pod nim tylko poeta był znany.

Przy tym wszystkim: złote serce, umysł w najwyższym stopniu niezależny, pogarda dla głupców i dowcip iskrzący. Kochano go za ten dowcip, wybornie przystosowany do ducha epoki, za wyborny humor, za młodość pełną ognia i zapału. Pozostało po nim – rzecz rzadka w tym życiu – wspomnienie trwałych przyjaźni i poświęcenia bez granic.

Skłoniwszy się margrabiemu, Cyrano oddalił się, wsparty na ramieniu swego sekundanta.

Tytuł hrabiowski, którym obdarzył poeta tego ostatniego, spadł nań po śmierci starego hrabiego de Lembrat. Był to nowy dziedzic Fougerolles, był to ów Roland o minie wyniosłej, którego widzieliśmy, jak stał bez śladu wzruszenia przy łożu

¹⁰ *secina* – dziś: setka. [przypis edytorski]

umierającego ojca.

Hrabia Rajmund de Lembrat już od roku spoczywał w grobie, a syn rychło go opłakał. Roland miał lat dwadzieścia pięć i był bardzo bogaty. Paliła go żądza nasycenia się gorączkowym życiem stolicy, od którego starzec trzymał go rozmyślnie z daleka.

Cyrano de Bergerac, starszy i doświadczeńszy, był jego wzorem i jakkolwiek nie żywił wielkiej przyjaźni do poety – zapewne przez wrodzoną mu sprzeczność z uczuciami ojca – prosił, aby Cyrano podjął się roli jego przewodnika i ojca chrzestnego w odmęcie tego błyszczącego świata, który go tak bardzo pociągał.

„Była to epoka owych pięknych awanturnic, Hiszpanek i Włozek, istot dumnych a zarazem lubieżnych, które miłowały jednaką miłością złoto, krew i pachnidła; była to epoka maskarad, zalotów hiszpańskich, uroczystych zarazem i rozpasanych, miłostek namiętnych aż do ponizenia się, gwałtownych aż do okrucieństwa, sonetów i ulotnych wierszyków, wielkiej pijatyki, wielkiej zabijatyki i wielkiego kosterstwa¹¹...”

W taki wir rzucił Cyrano swego młodego przyjaciela.

W tym upajającym i odurzającym zamęcie Sawiniusz wiódł żywot poety i filozofa, Roland zanurzył się weń z głową, palony gorączką kosztowania wszystkich ponętnych owoców

¹¹ *kosterstwo* – gra w kości uprawiana nałogowo; por. *karciarstwo*. [przypis edytorski]

i maczania ust we wszystkich czarach ze słodką trucizną. Rok nie upłynął, a już potrafił sobie zdobyć imię w świecie stołecznych wytwornisiów i szalapatów. Rozsiewał garściami złoto, wyprawiał ucztę po ucztach, olśniewał kobiety zbytkiem, porywał mężczyzn odwagą. Rzecz prosta, że się wkrótce życiem tym upił.

Po oszołomieniu nastąpił niesmak. Roland uczuł potrzebę okiełznania namiętności i wypoczęcia.

I w tym Cyrano ukazał się dlań użyteczny. W liczbie przyjaciół poety znajdował się margrabia de Faventimes, mieszkający w starym pałacu na Wyspie św. Ludwika i wiodący życie nader skromne, gdyż przegrany niedawno proces silnie nadszarpnął jego fortunę. Sawiniusz znalazł sposobność zalecenia margrabiemu hrabiego Rolanda, który niebawem też został tam wprowadzony i znalazł w starym pałacu cichą przystań, tak bardzo przezeń pożądaną.

W pałacu, prócz margrabiego, znajdowała się młoda panna, jedyna jego córka. Na imię jej było Gilberta; liczyła lat dziewiętnaście. Roland zakochał się w margrabciance i jako młodzian roztropny powiernikiem swych uczuć uczynił samego margrabiego.

W owym czasie, tak samo jak i dziś, nie żeniono się z pannami bez posagu. Zięć niewymagający do córki dopłaty był dla margrabiego prawdziwą opatrnością, toteż przyjął go z otwartymi rękoma i już w dwa miesiące po zapoznaniu się tak zwane szczęście Gilberty zostało zapewnione.

Co się tyczy panny, zapytana dla formy o zdanie, odpowiedziała bez wzdrygnięcia się „tak”, serce jej bowiem było prawdopodobnie wolne, umysł zaś dość praktyczny, aby ocenić korzyści tak świetnego pod względem majątkowym związku. Oparte na tym gruncie układy prędko doprowadziły do celu i hrabia de Lembrat został uroczyście przyjęty w pałacu na Wyspie św. Ludwika w charakterze narzeczonego pięknej Gilberty de Faventines.

W zupełnym spokoju korzystała ona z przywilejów tej godnej zazdrości roli na wiosnę 1653 roku.

W ciągu dwóch miesięcy Gilberta miała czas oswoić się z myślą, że zostanie hrabiną. Oczekiwała na ten wypadek, zbytecznie go nie pożądam. Powiedzmy więcej, chętnie byłaby cofnęła dane słowo, gdyby jej nie powstrzymywały szacunek i posłuszeństwo winne rodzicom.

V

Pałac margrabiego de Faventines wznosił się w głębi ogrodu, którego brama wychodziła na nabrzeże Sekwany. Roztaczał się stamtąd widok prześliczny i Gilberta lubiła siadać na tarasie, górującym nad rzeką. Spędzała tam długie chwile na marzeniu, czytaniu lub rozmowie z Paketą, młodą dziewczyną spełniającą dwie role, pokojowej i powiernicy.

Pewnego ranka pani i służebna zajęły swe ulubione miejsce, chroniąc się przed słońcem w cień rozłożystego jaworu, którego długie gałęzie wybiegały za kratę i sięgały nabrzeża. Rozmawiały głosem przyciszonym, a musiała to być rozmowa wielce zajmująca i wielce poważna, gdyż główki dziewcząt tak bardzo zbliżyły się do siebie, że czarna kosa¹² Gilberty muskała złociste kędziorki Pakety.

Policzki margrabianki były różowe jak kwiat brzoskwini w kwietniu. A różowość ta wzmagala się w miarę przeciągającej się rozmowy.

– I trwa to już dawno, proszę panienki? – zapytała Paketa, wysłuchawszy długiego opowiadania Gilberty.

– Od trzech tygodni.

– Czy podobna?

– Od trzech tygodni znajduję codziennie na swoim balkonie

¹² *kosa* (daw.) – warkocz. [przypis edytorski]

bukiet, a w bukicie wiersze.

– Ofiarowywać codziennie bukiet, nic to trudnego, ale wiersze! Albo nieznajomy wielbiciel posiada talent większy niż nasi modni poeci, albo też... zaopatrzył się zawczasu w zapas wierszy miłosnych, zastosowanych do każdej okoliczności.

– Jesteś złośliwa, Paketo.

– Czy pozwoli mi panienka być także... ciekawą?

– W jakim celu?

– Chciałabym zadać panience jedno pytanie.

– Mów.

– A więc, z ręką na sercu, z jakim uczuciem przyjęła panienka te bukiety i te wiersze?

– Być może, Paketo, że jestem trochę płocha.

– To nie odpowiedź.

– Niech i tak będzie. Dowiedz się zatem, że śmiałość nieznajomego mocno mnie rozgniewała.

– To naturalne. Ale... potem?

– Potem przywykłam do niej.

– Tak dalece, że dziś...

– Dziś, jak sądzę, nie mogłabym już gniewać się nań za rzecz, którą przyjmowałam z pobłażaniem.

– I naprawdę panienka go nie zna?

– Przysięgam ci, że naprawdę.

– Nie podejrzewa panienka nikogo?

– Nikogo.

– Nawet hrabiego de Lembrat, swego narzeczonego?

– Jego! Skąd ci to mogło przyjść do głowy! Wszakże widuje mnie codziennie i w każdej chwili może do woli ze mną rozmawiać. W jakimże celu miałby ofiarowywać mi w tajemnicy wiersze i kwiaty?

– Może to delikatna forma pamięci i hołdu?

– Nie.

– A może: próba?

– Hrabia nie ma potrzeby mi ciągle nadskakiwać ani mnie doświadczać. Pewny jest zarówno mojej prawości, jak i słowa danego mu przez ojca.

– W takim razie wszystko to nie doprowadzi panienki do niczego.

– Dobrześ rzekła, do niczego. W ciągu miesiąca będę zamężna. Wspomnienie tej dziwnej przygody pozostawi tylko w moim sercu jedną jeszcze żalność...

– Jeszcze jedną żalność? A widzi panienka, że panienka pana de Lembrat nie kocha. Panienka go nie kocha, a jednak wychodzi za niego.

– Cóż chciałabyś, żebyś uczyniła?

– Chciałabym – rzekła Paketa, potrząsając rezolutnie kształtną główką – chciałabym, żeby panienka zbuntowała się i powiedziała: „nie!”. Ja, na miejscu panienki, nie namyślałabym się ani chwili!

– Ty, moja kochana, jesteś wolna. Na tobie nie ciąży obowiązek oszczędzania dumy rodowej, ocalenia rodowego klejnotu...

– To prawda, jednakże...

– Gdybym nawet powiedziała: „nie!” – ciągnęła smętnie Gilberta – wola ojca przemogłaby moje postanowienie. Ach, tyś szczęśliwa, Paketo! Ty możesz kochać, mnie tego zabroniono!

W ogrodzie dały się słyszeć głosy. Gilberta podniosła się zmieszana. Prawie w tejże samej chwili zjawił się hrabia, na którego ramieniu wspierała się margrabina de Faventines. Na widok matki Gilberta nie mogła powstrzymać lekkiego okrzyku.

– Przestraszyłem panią? – zapytał Roland.

– Ech, nie! Wzruszyłeś mnie pan tylko swym niespodzianym zjawieniem się – odrzekła Gilberta, zmuszając się do uśmiechu.

Ucałowawszy rączkę narzeczonej, hrabia de Lembrat usiadł obok margrabiny na ławce, która otaczała pierścieniem gruby pień jaworu.

Na znak dany przez matkę Gilberta zajęła miejsce obok narzeczonego. Ale zamiast śledzić z uwagą, co się dzieje dokoła niej, wybiegła wzrokiem i myślą daleko i zatoneła w głębokiej zadumie. Roland badał ją przez chwilę w milczeniu z inkwizytorską przenikliwością.

– Wydajesz się pani smutną – wyrzekł wreszcie. – Na Boga, cóż tu zaszło takiego?

– Nic nie zaszło, panie hrabio – odparła Gilberta. – Wybacz mi pan łaskawie moje roztargnienie.

– Dziwne to wszystko! – szepnął do siebie Roland, brwi ściągając.

Zaczęta w tak oschłym tonie rozmowa rwała się co chwila.

Hrabia czując, że trzeba wyjść jak najprędzej z zakłętego koła czczych i nudnych ogólników, nic nie odpowiedział na ostatnie słowa Gilberty, natomiast wydobył z kieszeni maleńkie pudełeczko do klejnotów, ozdobione herbem rodziny de Faventines i otworzywszy, podsunął je przed oczy narzeczonej.

– Pani – odważył się przemówić po kilku chwilach milczenia – wiem, że dzieła sztuki budzą w tobie zajęcie. Racz przyjąć ten klejnocik, który z myślą o tobie kazałem przygotować florenckiemu mistrzowi sztuki złotniczej.

Gilberta rzuciła na prześliczne cacko łaskawie grzeczne spojrzenie.

– W istocie, jest to bardzo bogate! – zauważyła tonem najzupełniej obojętnym.

– Gilberto! – zawołała margrabina – czyż nie możesz zdobyć się na uprzejmiejsze podziękowanie!

– Och, pani! – przerwał Roland z odcieniem gorczy w głosie – nie liczyłem bynajmniej na podziękowanie.

– Uwaga mamy była słuszna. Zapomniałam, gdzie jestem i do kogo przemawiam. Panie, bardzom panu za jego uprzejmość obowiązana!

„Zimna jak marmur – przemknęło przez głowę Rolandowi. – Byłżebym¹³ okłamywany?...”

Nastąpiła chwila przykrego dla wszystkich milczenia. Na szczęście zjawił się margrabia. Przybywał on w porę, aby

¹³ *byłżebym* – konstrukcja z partykułą -że; znaczenie: czyżbym był. [przypis edytorski]

wyprowadzić z kłopotu troje osób niewiedzących, co począć z sobą. Margrabia nie przybywał sam. Towarzyszył mu Sawiniusz de Cyrano.

Szlachcic zbliżył się do dam krokiem posuwistym i złożył ukłon tak niski, że aż pióro jego wielkiego kapelusza musnęło żwir alei. Moda ówczesna inaczej kłaniać się nie pozwalała.

– Witaj, panie de Bergerac! – zawołała żywo margrabina, rada przybywającym – jakżem szczęśliwa, że pana oglądam! Przez długie dwa tygodnie skąpiłeś nam swej obecności! Czyś chorował?

– Tak, margrabino! – odrzekł wesoło Cyrano i podchwytną sposobność popisania się grą słów, w której zawsze celował, dodał: – Trapiła mnie trojniaczka i czwartaczka.

– To znaczy – pośpieszył wytłumaczyć Roland – żeś się znów pojedynkował!

– O, prawie mimo woli! Przyjaciele moi niesłusznie nazywają mnie „prymusem” towarzystwa stołecznego, od tygodnia już bowiem nie upłynął dzień jeden, abym nie był czyimś sekundantem. Pomagałem bić się kochanemu de Brisailles, który pojedynkował się, nie wiem, dalibóg, o co; potem podtrzymałem drogiego Canillaca; sam zaś wyniosłem z tych utarczek kresę przez nos, dotąd jeszcze widoczną.

– To są drobne awanturki! – wtrącił margrabia. – Mówią, że spotkało cię coś poważniejszego...

– Nie wiem, o czym chcesz mówić, margrabio?

– Alboż nie pokłóciłeś się z Poquelinem, który tak

niegrzecznie ściągnął jedną scenę z twego *Pedanta*, aby ją następnie przyczepić do tej farsy, która ma tytuł *Szelmostwa Skapena*?

– A, już wiem, o co ci idzie.

– Widzę, że dość obojętnie sprawę tę traktujesz.

– Po cóż mam ją traktować inaczej! – rzekł poeta, wzruszając ramionami. – Jeżeli Molier wyskubuje piórka z moich dzieł, aby się w nie przystroić, ludzie o tym wiedzą i mówią, jestem już przeto dostatecznie pomszczony. Zresztą, jeśli kradnie moje myśli, dowodzi tym, że je ceni; nie tknąłby ich, gdyby sądził, że nic nie są warte.

– Bez wątpienia.

– Chcesz jednak wiedzieć, margrabisio, co mnie obraża? Oto zuchwalstwo Moliera, który przypisuje własnej twórczości myśli podsuwane mu jedynie przez dobrą pamięć i uważa się za ojca takich dzieci, przy których urodzeniu pełnił jedynie rolę akuszerki.

Wybuchem śmiechu przyjęto ten żarcik. Zniknął przymus krępujący dotąd towarzystwo. Dobry humor Cyrana rozpogodził wszystkie twarze.

– Przyjacielu Bergeraku! – odezwał się nagle margrabia. – Wart jesteś więcej niż opinia o tobie.

– Nie mówmy o mojej opinii. Jeżeli zła, to dlatego, że wrogiom moim pozostawił dość czasu do jej sfabrykowania. Mówmy raczej o twoim szczęściu, kochany Rolandzie, o uciechach życia rodzinnego, o twym ojcowskim zadowoleniu,

margrabię. Niejedno zapewne mielibyście mi o tym do powiedzenia.

– Owszem, jedno tylko – wyrwał się Roland – ale które dla mnie wszystko zastąpi. Za miesiąc panna Gilberta będzie moją żoną.

– Godny zazdrości śmiertelniku, co znasz z góry dokładną datę swojego szczęścia!

W tejsze chwili zauważył, że słowa hrabiego w szczególny sposób zmieszały Gilbertę.

„Aj! – szepnął do siebie – panią zdaje się bez wielkiego zachwyty przyjmować los, który ją czeka!”

Zrobiwszy tę uwagę, zabierał się do odejścia.

Margrabia zatrzymał go.

– Zjesz z nami obiad, panie de Bergerac?

– Nie. Ulatniam się!

– Tak prędko?

– Czekają na mnie w Pałacu Burgundzkim.

– Przysiągłbym, że to tylko wymówka.

– Wymówka ta ma ciało i kości. Jest nią Sulpicjusz Castillan, dzielny chłopiec, który przepisuje moje wiersze i roznosi listy.

– A więc Sulpicjusz Castillan poczeka na ciebie...

– Zostań pan, proszę! – przybyła na pomoc ojcu Gilberta. – Po obiedzie uruczysz nas kilkoma rozdziałami swojej ostatniej pracy.

– Tam, gdzie pani rozkazujesz – odrzekł dwornie poeta – wola moja kruszy się na atomy. Pozostaję zatem. Czy zgadzacie się,

panie, abyśmy przed obiadem przeszli się po Nowym Moście? Podobno Brioché pokazuje tam farsę, w której wystawia swoją osobę w sposób wielce złośliwy, ku niezmiernej uciechu gapiów i włóczęgów.

Cyrano wyliczał w dalszym ciągu uciechy, jakie można było owego ranka znaleźć na Nowym Moście, gdy nagle nader żywo zajęło go co innego.

Na nabrzeżu rozległy się dźwięki muzyki.

Niespodziewany ten koncert wyprawiała trójka wędrownych grajków, złożona z dwóch mężczyzn i jednej kobiety. Wszyscy oni przybrani byli w odzież malowniczą, o barwach jaskrawych.

Sawiniusz, przegięty przez balustradę, jął przypatrywać się tej grupie z zaciekawieniem artysty.

Wyglądała ona w istocie niepowszednio.

Różnobarwny strój podnosił piękność kobiety, która i bez tego była urodziwa. Towarzysze jej trzymali się prosto i dumnie, jakby szych¹⁴ i blaszki na ich odzieży były prawdziwym złotem i klejnotami.

Zapominając w jednej chwili o Nowym Moście, o Briochem i o farsie przeciw sobie skierowanej, Cyrano zwrócił się do margrabiego, mówiąc:

– Ależ, panie Faventines, jak możesz tak obojętnie przyglądać się tej trójce artystycznej i pozwalać, aby poniewierała swe talenta na ulicy? Czyż nie lepiej tu ją wezwać? Jestem pewny, że

¹⁴ *szych* – nić owinięta metalowym (np. złotym) drucikiem, służąca do obszywania galonów, ozdobnych haftów itp. [przypis edytorski]

ci wędrowni wirtuozi nic nie stracą na bliższym poznaniu.

– I owszem; zgadzam się na to jak najchętniej – przytaknął margrabia. – A ty, Gilberto?

– Zastosuję się do twojej woli, ojcze. Przywołaj ich, panie Cyrano.

– Hej, wy tam! – krzyknął na cały głos poeta. – Chodźcie no tu, nie zwlekając i pokażcie, co umiecie!

VI

Paketa otworzyła furtę od bocznej ulicy; troje grajków weszło do ogrodu i stanęło przed dostojnym zgromadzeniem.

Na widok Cyrana jeden z mężczyzn poruszył się niespokojnie i szybkim ruchem ręki nagarnął na twarz długie promienie swych bujnych, czarnych włosów.

Gdyby poeta zauważył był ten ruch i przyjrzał się baczniej ulicznemu grajkowi, poznałby w nim bez trudności rzekomego żebraka, spotkanego niegdyś na drodze do Fougerolles. Lecz pomijając już, że o przygodzie swej zdążył już zapomnieć, nazbyt zajmowała go w tej chwili osobistość drugiego grajka. Ten był młodszy; miał włosy jasne, figurę smukłą i kształtną; na jego twarzy, cokolwiek tylko ogorzałej, malowała się duma połączona z melancholią.

O czym myślał Cyrano, wpatrując się weń badawczo? Zapewne przyszloby mu z trudnością odpowiedzieć na to pytanie, gdyż niebawem wstrząsnawszy głową, jakby dla odpędzenia niepotrzebnych myśli, podszedł do tego, który zdawał się innym przewodzić, i rzekł:

– No, dalej, powtórzcie swą muzyczkę, jeśli nie potraficie niczym innym zabawić dostojnego towarzystwa.

Na to wezwanie ów podejrzany człowiek z gościńca postąpił krok naprzód i starając się jak najbardziej odmienić głos, gdyż miał w pamięci przestrożę daną mu przez Cyrana, oświadczył:

– Nie wszyscy, jasny panie, lubią muzykę. Mamy w zapasie co innego jeszcze.

– Cóż takiego na przykład?

– Ja wykonuję zadziwiające sztuki z kubkami. Moja siostra, Zilla, wróży po mistrzowsku. Towarzysz wreszcie nasz, Manuel, jest niepospolitym improwizatorem i wysoce utalentowanym lutnistą.

– Mamy więc jedynie kłopot z wyborem! – zaśmiał się Cyrano.

I zwracając oczy na tego, którego nazwano Manuelem, spytał:

– Jesteś, mój chłopcze, poetą?

– Bywam nim niekiedy, wielmożny panie.

– Jesteśmy w takim razie braćmi. Pozdrawiam cię w imię Apollina.

Młodzieniec skłonił się.

– Dzięki, panie Cyrano – rzekł uprzejmie.

– Znasz mnie zatem?

– Jak wszyscy w Paryżu.

„To dziwne – myślał w tej chwili Cyrano – rysy tego chłopca doskonale są mi znajome, nawet dźwięk jego głosu nie jest mi obcy”.

I w zamyśleniu jął na nowo wzrokiem przenikliwym badać od stóp do głowy młodego grajka.

– Co ci jest, przyjacielu? – zagadnął Roland, zauważywszy dziwny wyraz twarzy Sawiniusza.

Poeta ocknął się z zadumy.

– Nic – odrzekł. – Studiowałem swego kolegę po lutni. Poeta jest zawsze zwierzęciem niezwykłym i godnym uwagi.

Nastąpiła chwila wyczekiwania, podczas której, wśród tej grupy z najsprzeczniejszych żywiołów złożonej krzyżowały się spojrzenia będące przeróżnych uczuć wyrazem.

Cyrano nie przestawał badać Manuela; Manuel znów wpatrywał się rozplómiętym wzrokiem w Gilbertę, którą przyprawiało to o niepojęte wzruszenie.

Oczy Zilli, zwrócone na Manuela, ciskały błyskawice; Roland przenosił wzrok z jednej osoby na drugą, starając się odgadnąć znaczenie tajemniczej sceny.

Co się tyczy człowieka z czarnymi włosami, nie przyglądał się on nikomu, myśląc jedynie o tym, aby się jemu nie przyglądano. Obecność Cyrana dokuczała mu niezmiernie.

Poeta zwrócił się nagle do Gilberty z propozycją:

– Może Zilla postawi pięknej zasępionej horoskop? Czy zgoda?

– Zgoda.

I Gilberta podeszła do artystycznej trójki. Zaraz też wróżka chwyciła jej rękę.

– Czytaj z niej śmiało – rzekła margrabianka. – Nie obawiam się swego przeznaczenia. I cóż tam widzisz?

– Miłość w cieniu; niespodzianka i zawód; zacięta walka; po skończonej walce może szczęście, a może... śmierć.

Gilberta cofnęła rękę.

– Dziękuję – rzekła krótko.

– Jest to ciemne jak starożytna wyrocznia – zażartował Cyrano. – Teraz do mnie, piękna Sybillo.

– Życie krótkie, życie płodne, prześladowania i walki.

– To właśnie, co lubię. Dobrze mówisz, panienko! A koniec jaki?

– Trudno mi odpowiedzieć na to wyraźnie.

– Dobrze pchnięcie szpady zapewne? Na taką śmierć sumiennie zasłużyłem.

– Nie, śmierć pańska będzie inna – oświadczyła stanowczo wróżka, przyjrawszy się ponownie liniom krzyżującym się na dłoni szlachcica.

– Zgadzam się i na to. Na ciebie kolej, Rolandzie.

– To byłoby zbyt dobre. Ja żadnej wiary do wróżb nie przykładam.

– Ja również. Ale trzeba dać coś zarobić tym biedakom.

– Prawda.

I Roland poddał się z kolei badaniom rzekomej czarodziejki.

– Nie bez powodu wzdragales się, panie hrabio – oświadczyła ona głosem poważnym i głębokim. – Dłoń pańska jest najdziwaczniej zapisana.

– Doprawdy?

– Wszystko w tych liniach jest mrokiem i tajemnicą. Pozwól mi zebrać myśli, jaśnie panie.

– Są więc tam rzeczy straszne?

– Być może!

Zilla z pochyloną głową, z okiem w jeden punkt utkwionym,

pograżona w milczącej zadumie, zdawała się o świecie całym zapominać.

Podczas gdy wszyscy zajęci byli tą sceną, młodzieniec jakiś, skromnie odziany, o śmiałych ruchach i złośliwym wyrazie twarzy, wmieszał się nieznacznie do towarzystwa. Był to Sulpicjusz Castillan, sekretarz Cyrana. Nie znalazłszy swego pana w Pałacu Burgundzkim, przybywał szukać go w pałacu Faventines.

Szlachcic dał mu znak, który mówił:

„Nie odzywaj się ani słówkiem i czekaj. Jesteś mi potrzebny”.

Rolanda de Lembrat zaczynały już niecierpliwić długie ceregiele wróżki.

– Powiedz nareszcie, co jest do powiedzenia – rzekł cierpko.

– Widzisz, że wszyscy na to czekają.

Lecz Zilla potrząsnęła głową i odsuwając rękę hrabiego, szepnęła:

– Nie, ja tego powiedzieć nie mogę.

– Tajemnica? Tak najwygodniej.

Odgadywaczka przyszłości zatopiła ostre jak sztylet spojrzenie w szydzących oczach sceptyka; potem odparła dobitnie:

– Tak najroztropniej... dla spokojności¹⁵ pańskiego umysłu.

Hrabia wzruszył lekceważąco ramionami.

– Dość tych kuglarstw! Zaśpiewaj nam teraz jaką piosenkę miłosną. To wolę.

¹⁵ *spokojność* – dziś: spokój. [przypis edytorski]

Do rozmowy wmieszał się starszy z mężczyzn.

– To już należy do Manuela.

A towarzyszowi rzucił rozkaz:

– Zbierz siły, kolego i wygłoś przed pięknymi damami jedną ze swych improwizacji.

Ale rozkaz, zamiast ożywić i zachęcić młodzieńca, przeraził go widocznie. Podniósł on na Gilbertę prawie błędne spojrzenie i zaraz potem zwiesił głowę na piersi, jakby uginając się pod ciężarem przechodzącym jego siły. Nagle jednak błyskawica energii zapłonęła w jego oczach; podniósł głowę zwycięsko, jakby natchnienie sił mu dodało i odrzucając w tył płowe włosy, zbliżył się do panny de Faventines.

Gilberta wsparła głowę na ramieniu Pakety.

– Spojrzenie tego człowieka miesza mnie i niepokoi... – szepnęła do ucha powiernicy.

– Jest dumne i pewne siebie – zauważyła ta ostatnia półgłosem.

Cyrano w obecności improwizatora przybrał minę zamyśloną. Zresztą młodzieniec ów zwrócił na siebie powszechną uwagę.

Manuel wykonał na lutni krótką przygrywkę, następnie głosem śpiewnym, lekko drżącym i wzruszonym z początku, lecz w miarę, gdy unosiło go natchnienie, rosnącym w siłę i dźwięczność, wypowiedział następujące wiersze:

Czyż dlatego, żem dziecicę Cygana,
Które ludzie niewinnie przekleli,

Że mnie przepaść niczym niezrównana
Od kobiety ukochanej dzieli;
Że jej uśmiech nigdy nie rozjaśni
Mej miłości, co wyrosła w cieniu —
Mam żyć w wiecznej z przeznaczeniem waśni?
Mam się męczyć i konać w milczeniu?

– O Boże! – szepnęła Gilberta, drżąca ze wzruszenia.

Przez me życie przejdzie ona dumnie
I jej oczy nie zejną się z memi,
I jej myśli nie zniżą się ku mnie,
Jak nie zniża się niebo ku ziemi.
Lecz tak mało potrzeba wyklętych!
Gdyby kwiat ten, przez mych ust porwy
Całowany, ku swym wargom świętym
Przymknąć chciała... umarłbym szczęśliwy!

Trafem, czy też rozmyślnie, improwizator stanął przy wielkim wazonie kamiennym, który otaczał wiotkimi gałązkami krzew białej róży. Kończąc swą deklamację melodyjnym westchnieniem, wyciągnął rękę, zerwał różę, przesunął ją nieznacznie przy ustach i zginając kolano przed Gilbertą, oddał jej kwiat, przymykając oczy, jakby omdlewał ze wzruszenia.

Z płomieniem w oczach, z ustami wykrzywionymi spazmatycznie, rzucił się nań Roland.

– Zuchwalcze! – wykrzyknął.

I wyrwawszy różę z ręki grajka, cisnął ją na ziemię i nogami

podeptał.

Manuel porwał się na nogi i wyprężył, jakby zabierając się do walki. Ale pod spojrzeniem hrabiego, wyniosłym i pełnym wzdąry, czoło jego, zapłonione od gniewu, pokryło się nagle chmurą, zachwiał się i zatoczył. Zrozumiał i ujawnił swą bezsilność.

Wszystko to było szybkie jak myśl.

– Co czynisz, Rolandzie! – wmieszał się Cyrano. – Jaka mucha cię ugryzła? Ten człowiek jest w porządku: wygłasza wiersze, potem ofiarowuje kwiat, jest to zupełnie naturalne i niewinne.

– Jak to? Nie zauważyłeś jego spojrzenia? Nie pojąłeś bezczelnej myśli ukrytej w jego słowach?

– Dzieciaku! – Sawiniusz ujął hrabiego za rękę. – Byłżebyś zazdrosny o Cygana?

– Puść mnie!

I Roland, pokazując Manuelowi otwartą furkę, zawołał:

– Wynoś się, błaznie, jeśli nie chcesz, abym ci kij połamał na grzbiecie!

– Za pozwoleniem – odparł Manuel tonem spokojnym, nie cofając się na krok jeden – gdybyś pan chwycił za kij, ja ująłbym za szpadę.

Roland wybuchnął śmiechem szyderczym, zjadliwym...

– Żebraku! – krzyknął – precz stąd!

– Panie hrabio! – zawołała Gilberta, rzucając się pomiędzy zapaśników.

Roland ujął ją za rękę.

– Nie obawiaj się, pani. Jeśli bywam zazdrosny o najmniejszą rzecz, która osoby twej dotyka, umiem też płacić za dostarczone ci rozrywki! Masz, łotrze!

Cisnął Manuelowi kieskę pełną złota.

– Dziękuję – rzekł młodzieniec, odtrącając ją nogą – jestem już zapłacony.

Brat Zilli, mniej skrupulatny, podjął z pośpiechem zdobycz, skłonił się do samej ziemi ofiarodawcy i rzekł:

– Ja nie pracuję, jasny panie, z amatorstwa. Biorę z wdzięcznością wszystko, co dają.

Manuel oddalił się wolnym krokiem, nie jak natręt, którego odpędzono, lecz jak szermierz, odchodzący z dumą z pola walki. Towarzysz i towarzyszka pośpieszyli z nim.

Podczas gdy Roland śledził chmurnym spojrzeniem odchodzących, do ucha Pakety dobiegła smutna skarga margrabianki:

– Ach, moja droga, to był Cygan! Wszystko mi już teraz wzbrania kochać. Sen mój prześnił się.

W tejże chwili Cyrano wydawał Sulpicjuszowi polecenie:

– Idź za tymi ludźmi, których wypędzono. Muszę wiedzieć, gdzie w danej chwili znaleźć ich będzie można.

VII

Po wyjściu z pałacu Faventines trójka wędrownych grajków udała się na Nowy Most, który był wówczas główną kwaterą przewoźników, fagasów, elegantów i łobuzów. Zilla szła na przedzie, z głową zwieszoną i ciężką od myśli. Manuel, przeciwnie, spoglądał w niebo, pierś jego głęboko oddychała, rozszerzona uczuciem triumfującej dumy. Kochał! I choć był nędznym robakiem, potrącanym stopami ludzkimi, doświadczył niewysłowionej, anielskiej prawie rozkoszy, zdoławszy w chwili szczęśliwego natchnienia wznieść się aż do przedmiotu swej miłości. Przez jedną chwilę ona czuła płomień jego oczu w swych źrenicach; przez jedną chwilę należała do niego. Zobelżono¹⁶ go, sponiewierano, wypędzono – co go to obchodzi! Ten Cygan, to dziecię nieszczęścia, ale i nieokiełznanej niczym wolności, do niczego w życiu nieprzywiązane, do niczego w życiu niedążące, pobudził do żywszego bicia serce patrycjuszki, mocą jeśli nie miłości, to przynajmniej współczucia.

Wystarczało mu to – jak oświadczył w swej gorączkowej improwizacji. Był szczęśliwy; o niczym więcej nie myślał, do niczego więcej nie zmierzał; jego dusza artysty i marzyciela zakładała swe całe przyszłe szczęście na wspomnieniu. Wiedział, że w pamięci Gilberty zajął miejsce, z którego nikt go już nie

¹⁶ *zobelżyć* – *zelżyć*; obsypać obelgami. [przypis edytorski]

usunie.

Myśl o tym była jego skarbem, nagrodą jego śmiałości, pociechą jego nędzy. I jak obłąkaniec, goniący za widziadłem własnej wyobraźni, szedł krokiem chwiejnym, potracając przechodniów, potykając się o kamienie, olśniony, pijany, prawie nieprzytomny.

Towarzysz przywołał go do rzeczywistości.

– Hola, Manuelu! – zawołał drwiąco – co się z tobą dzieje? Głuchyś jak pień, a język kołkiem stanął ci w gębie!

– Z czego tak wnosisz, Ben Joelu?

– Z czego? Ależ z tego, zacny wierszokleto, żem już trzy razy mówił do ciebie, a ty ani mru-mru.

– Wybacz i bądź łaskaw powtórzyć raz jeszcze swe zapytanie.

– Pytałem cię po przyjacielsku, czy...

– Czy co?

– Ech, nic! Prawdę mówiąc, nie powinienem tam wtykać mojego nosa!

– Ależ mów, proszę cię.

– Otóż chciałem, abyś mi wytłumaczył: co znaczyła ta heca w ogrodzie?

– Jaka heca?

– Ta siarczysta improwizacja zwrócona do owej pannicy.

– Myślę, żeś odgadł jej znaczenie?

– Więc ty się naprawdę w tej sikorce zakochałeś?! – wykrzyknął Ben Joel niezmiernie zdziwiony.

– Tak – odrzekł Manuel głosem głębokiego przeświadczenia.

– Diabli nadali! A do czegoż cię to doprowadzi?

– Do niczego.

– No, a co będzie z Zillą?

– Z Zillą?

– Czyż nie widziałeś, że dziewczyna była jak na mękach?

Manuel zwrócił pytające spojrzenie na towarzysza.

– Na mękach, powiadasz?

– Tak, bo to głupie stworzenie przywykło już widzieć w tobie swego przysłego męża, czego życzył sobie nawet mój papa, gdy umierając przeznaczył jedno dla drugiego. A przy tym wiesz, jaka to zazdrośnica.

Czoło Manuela sfałdowało się. Przyśpieszył kroku, aby uniknąć dalszych wypytywań towarzysza, rzucając mu na odchodnym:

– Mylisz się. Zilla nie kocha mnie. Nigdy ona nie myślała o tym, co mówisz.

Ben Joel nie zdążył odpowiedzieć, gdyż młodzieniec podbiegł do Zilli i uchronił się tym sposobem od jego ciekawości.

Sulpicjusz Castillan, spełniając zlecenie Cyrana, postępował wciąż za trójką. Idąc, mówił do siebie:

– Co u diabła za interesy może mieć mój pan z tymi obwiesiami!

Wbrew przewidywaniom Sulpicjusza, który wyobrażał sobie, że grajkowie mają stały przytułek na Nowym Moście, minęli go oni i weszli do jednego z biednie wyglądających domostw za bramą Nesle, w dzielnicy, która z czasem stać się

miała arystokratycznym przedmieściem Świętego Germana. Kieska Rolanda, tak skwapliwie pochwycona przez Ben Joela, była dość ciężka, aby grajkowie mogli zrobić sobie tego dnia zupełny odpoczynek, nie potrzebując stawiać dobrym paryżanom horoskopów ani też pokazywać im sztuk z kubkami.

Sulpicjusz długo wystawał przed bramą starego domostwa – dość długo, aby upewnić się, że grajkowie z niego nie wychodzą i że tu właśnie znajduje się ich gniazdo czy też legowisko. Następnie, ponieważ w tej samej właśnie dzielnicy mieszkał z Cyranem, nie wracając, poszedł prosto do domu swego pana. Niecierpliwość Sawiniusza musiała być niezmierna, kiedy z samego rana dnia następnego, kazawszy sobie najdokładniej powtórzyć sprawozdanie Castellana, przypasał szpadę, schował do kieszeni małe pudełeczko, które wyjął ze szkatułki stojącej w jego pokoju na kominku, i udał się prosto do domu zamieszkanego przez Manuela.

Dom ten Sulpicjusz opisał mu szczegółowo, od razu też poznał, że jest to budynek, który studenci, stali mieszkańcy tej dzielnicy, przewalali „Domem Cyklopa”. Była to budowla wysoka a wąska, z grubych belek i potężnych kłoców zbita, obrzucona po wierzchu tynkiem, który z niej kawałkami odpadał. W samym jej rogu znajdowała się furta żelazem okuta. Od czoła nie było wcale okien; u samej tylko góry w poczerniałym murze widać było szeroki otwór pomiędzy dwiema pochyłościami łupkowego dachu pokrytego mchem, skąd zwieszały się na kształt włosów chwasty o długich liściach.

W tym jednym otworze, zasłonionym¹⁷ szybkami w ołowianej oprawie, pojawiało się niekiedy nocą czerwone światło. Wyglądał on wówczas jak potworne oko w czole olbrzyma. I to właśnie było powodem, że studenci, polujący na porównania mitologiczne, nazwali osobliwe to domostwo – posępne i milczące za dnia, a nocą pełne światła i szmerów – Domem Cyklopa.

Stateczni mieszczanie z lękiem o tym domu mówili. Miał on swą kronikę, która wzmiankowała o scenach piekielnych. Gnieździć się w nim mieli czarownicy i czarownice, a co najmniej był kryjówką fałszerzy pieniędzy i rozbójników.

Cyrano, który nie drżał przed niczym i zdolny był, wedle własnego wyrażenia, zdmuchnąć słońce na niebie jak zwykłą łojówkę – z całej siły zapukał do zamkniętej furty tego domu. Przeciągłe milczenie nastąpiło po tym hałasie. Potem dały się słyszeć ciężkie kroki kogoś schodzącego po drewnianych schodach i furta odemknęła się, ukazując w czarnym otworze postać starej kobiety o twarzy żółtej i pomarszczonej jak półroczne jabłko.

Przez szparę, którą straszna odźwierna starała się uczynić jak najwęższą, Cyrano zapuścił wzrok do środka i ujrzał rozwieszony na murach łachmany oraz coś na kształt niskich tapczanów otaczających w ciemności stół ciężki, osadzisty¹⁸. Jednocześnie buchnął nań taki zaduch, że aż zatoczył się.

¹⁷ *zasłoniony* – dziś: zasłonięty. [przypis edytorski]

¹⁸ *osadzisty* – dziś: przysadzisty. [przypis edytorski]

– Czego? – zapytała stara.

– Chciałbym pomówić z pewnym młodzieńcem, który mieszka w tym domu.

– Z młodzieńcem? Mamy ich tu dziesięciu – pisnęła odźwierna, wykrzywiając twarz kocim grymasem. – Jakże się tamten nazywa?

– Manuel, jak mi się zdaje.

– Ano, to już wiem, który...

– Gdzież on?

– Wszedł ze swoją kompanią: Ben Joelem i Zillą.

– Gdzie mógłbym ich znaleźć?

– Najpewniej na Nowym Moście.

– Dziękuję.

I podczas gdy podejrzone postacie, gotowe do skorzystania z każdej sposobności, poczynają snuć się coraz gęściej w mroku poza plecami odźwiernej, Cyrano wcisnął jej w rękę pieniądze i udał się w stronę Nowego Mostu.

Była zaledwie godzina dziesiąta rano, a już tłum hałaśliwy i przepychający tłoczył się w pobliżu mostu. Ten tłum otaczał teatr marionetek, ustawiony nad fosą bramy Nesle wprost ulicy Guénégaud.

Właścicielem i impresariem teatru był sławny Jan Brocci, zwany inaczej Brioché, o którym wzmiankowano już poprzednio i który zapisał swe imię w historii widowisk ulicznych.

Z budynku teatralnego wybiegały dźwięki ogłuszającej muzyki. Niebawem pojawił się sam impresario, w towarzystwie

kolegi imieniem Violon. Na ich widok tłum uciszył się. Gapie poprzestali na zamienieniu spojrzeń znaczących. Widocznie oczekiwano na coś niezmiernie zajmującego.

– Panie i panowie – zaczął Brioché z silnym akcentem włoskim – zanim staną przed wami otworem wrota mego przybytku, zamierzam uczęstować was próbką prześlicznych rzeczy, które na was czekają.

– Na przykład: przygody garbusa poliszynela – przerwał mu Violon – nieporównana scena mimiczna, doświadczone lekarstwo dla chorych na śledzionę!

Potężne kopnięcie, klasyczne kopnięcie widowisk jarmarcznych, wstrzymało potok jego wymowy.

Brioché ciągnął:

– Każdy zapewne z was, panowie i panie, słyszał o mojej małpie imieniem Fagotin, która jest cudem nad cudami.

– Tak, tak, Fagotin! Fagotin! – wrzasnął tłum, wprawiony w dobry humor tą zapowiedzią.

– Słuchajcie zatem, panie i panowie! Tę małpę nieporównaną, ten skarb i ten cud, pokażę wam najzupełniej darmo, złamanego grosza od nikogo nie biorąc, tak samo jak pokazywałem ją wczoraj i jak jutro pokazywać będę.

Dał znak. Violon zniknął za zasłoną i ukazał się po chwili, prowadząc małpę cudacznie ubraną i stąpającą z góry z najzabawniejszą w świecie przesadą.

Szalonym wybuchem śmiechu przyjęto ten występ.

– Brawo! Brawo! Ach, jakież podobny! Ach, to on we własnej

postaci! Brawo, Fagotin z pyskiem Bergeraka!

Dla zrozumienia tych okrzyków objaśnić trzeba – że małpa Fagotin nie była niczym innym, jak żywą karykaturą Cyrana. Ta komiczna kopia figury, ruchów, ubioru i całego rycerskiego wzięcia się poety miała przyczynić wiele utrapień Briochému.

Małpa owa, wedle opisu samego bohatera niniejszego opowiadania, była „okrągła jak pasztet z Amiens, wielkości człowieka małego wzrostu i pocieszna w najwyższym stopniu. Brioché włożył jej na głowę stary, podarty kawał filcu z wielkim piórem, które zakrywało dziury i łaty; szyję jej opasywała olbrzymia kreza á la Scaramouche; miała na sobie wreszcie modny kaftan o sześciu zakładkach, naszywany pasmanterią i świecidłami”.

– Tęga mina, nieprawdaż? – wykrzykiwał Brioché, biorąc udział w wesołości tłumu.

A zwracając się do małpy:

– Witaj, nieustraszony! Pozdrowienie Kapitanowi Czartowi! Wystąp naprzód. Pogromco olbrzymów. Waligóro, Wyrwidębie, wystąp i pokaż, co umiesz!

Tłum wyteżył wzrok i nadstawił uszu. I jedynie wskutek tego, że uwaga jego była całkowicie pochłonięta przez widowisko, nie zauważył obecności Cyrana we własnej osobie, który zatrzymał się przed budą i zajął miejsce w ostatnim rzędzie widzów.

Zgadując, o co chodzi i widząc, że w istocie jego to ośmieszoną podobiznę oddawano na łup prostaczek uciechy gapiów, zawrzał wściekłym gniewem. Nos jego – ten nos, który

wydrwiwano tak nikczemnie – wciągał gwałtownie powietrze, poeta doświadczał przez chwilę pokusy rzucenia się na tłum ze szpadą i płazowania bezczelnych głupców, ośmielających się żartować z męża tej co on wartości – ale ciekawość jego okazała się silniejszą jeszcze od gniewu. Uspokoił się i – czekał.

– Hola, hej! – mówił Brioché, stosując mowę swą do różnych faktów z życia Cyrana – wiadome są światu całemu twe wiekopomne czyny bohaterskie. Z głowy ostatniego sultana zrobiłeś gałkę do swej szpady; od wiatru sprawionego machaniem twego kapelusza zatoneła flota; a kto chce mieć dokładną liczbę ofiar, które z ręki twej padły, musi wziąć cyfrę dziewięć i dodać do niej tyle zer, ile jest ziaren piasku w morzu. Baczość! Do dzieła!

Doskonale wytresowana małpa dobyła na te słowa szpadę i poczęła wymachiwać nią, naśladując szermierskie cięcia i pchnięcia. Ruchy jej naśladowały tak wiernie właściwy Cyranowi sposób bicia się, że on sam powstrzymać nie mógł wesołości i śmiać się zaczął razem z tłumem.

Podczas gdy małpa pokazywała swe sztuki, któryś z gapiów obejrzał się za siebie i poznał Cyrana. Szepnął on zaraz kilka słów sąsiadom i w mgnieniu oka ta nadzwyczajna wiadomość cały tłum obiegnęła. Przyjęto ją głośnymi okrzykami.

– Jest tu! Patrzcie, to on! Czartowski kapitan we własnej postaci! Baczość, Fagotin! Oto twój sobowtór.

Więc tłum jął się przyglądać kolejno pocie i małpie, porównując ze sobą oryginał i kopię, z wesołością tak hałaśliwą,

że w końcu Sawiniusz stracił cierpliwość.

– Hej tam, hołota! – krzyknął donośnym głosem – zamknąć pyski i do szeregu!

Gap wspomniany przed chwilą podjął się odpowiedzieć w imieniu wszystkich. Z kapeluszem w ręce przystąpił do Cyrana.

– Bez urazy pańskiej – rzekł – czy to zwyczajny pański nos? Może pan raczysz usunąć się, bo mi ten nos wszystko zasłania.

Mówić Cyranowi o jego nosie, znaczyło najdotkliwiej go obrażać. Najeżył się jak kogut, wyrwał z pochwy swą wielką szablę i rzucił się z wściekłością na tłum, ogłuszający go swymi wrzaskami.

W mgnieniu oka plac opustoszał. Cyrano nie miał przed sobą żadnych nieprzyjaciół, z wyjątkiem małpy Fagotin, która w śmiesznych podrygach udawała, że zabiera się do walki. Sawiniusz zaślepiony gniewem, nie panując już nad sobą, napadł na małpę jak na prawdziwego nieprzyjaciela i wymierzywszy cios w samo serce, nadział ją na ostrze szabli.

Na widok martwego zwierzęcia Brioché jął lamentować najżałośniejszym w świecie głosem. Cyrano, uspokojony cokolwiek przez to krwawe zadośćuczynienie, przypatrywał się obojętnie, jak hecarz okrywa pocałunkami niewinną ofiarę wypadku.

– O panie de Cyrano! – wyjąkał wreszcie Brioché, któremu usprawiedliwiona trwoga kazała postępować i wysławiać się ostrożnie – upewniam pana, że wytoczę mu sprawę sądową i że kosztować pana będzie co najmniej pięćdziesiąt pistołów.

– Zapłacę ci inną monetą... – rzekł poeta. – Bądź tylko trochę cierpliwy.

Schował rapier do pochwy, poprawił pióro na kapeluszu i pewnym krokiem przeszedł most w całej długości, szukając w tłumie, który teraz ustępował mu z drogi z pełnym lęku uszanowaniem, Manuela i jego kompanii.

Ale improwizatora nigdzie nie było.

Cyrano skierował kroki ku ulicy Guénégaud, zamierzając raz jeszcze zapukać do Domu Cyklopa i czekać tam powrotu Manuela, gdy znalazł się nagle twarz w twarz¹⁹ z Zillą.

– Pozwól, piękna panienko – rzekł uprzejmie – mam cię o coś zapytać...

Zilla podniosła oczy na człowieka, który ją tak śmiało zaczepił, a poznawszy poetę, zatrzymała się, czekając, co powie.

Za plecami jej Ben Joel starał się ukryć swą twarz, która na widok Cyrana dziwnie posepniała.

– Powiedz mi – mówił poeta – czy młodzieniec, który był wczoraj z wami w pałacu Faventines, ukrył się w jakiejś niedostępnej dziurze Nowego Mostu, bom oczy wypatrzył, szukając go tam przed chwilą nadaremnie?

– Pytasz pan o Manuela? – badała wróżka.

– O niego samego.

– Nie towarzyszy on nam dziś.

– Ach, czy mógłbym wiedzieć, gdzie się podziewa?

¹⁹ znalazł się (...) twarz w twarz – dziś: znalazł się twarzą w twarz. [przypis edytorski]

– Niech pan zapyta brata; objaśni pana lepiej ode mnie.

Zilla skłoniła się lekko szlachcicowi i zniknęła w tłumie, pozostawiając Ben Joela w kłopotliwym sam na sam z Cyranem.

Włóczęga zabierał się przezornie do odwrotu, ale silna dłoń Sawiniusza spoczęła na jego ramieniu i w miejscu go osadziła.

– Cóż to – rzekł poeta – byłżebyś równie dziki jak twoja siostra i równie jak ona odmawiał odpowiedzi na moje pytanie?

– Jasny panie... – wybełkotał zmieszany łotr.

Ten głos zebrzący obudzić musiał jakieś przypomnienie w umyśle Cyrana, bo starał się przypatrzeć twarzy mówiącego, który jednak uparcie trzymał ją pochyloną.

– Odpowiadajże! – zawołał niecierpliwie.

I jednocześnie, ujmując go bez ceregieli za brodę, obrócił twarzą do słońca.

– Mam cię! – wykrzyknął. – To więc ty jesteś!

– Jasny pan poznaje mnie?

– Do licha! Wiem teraz, dlaczegoś tak pilnie wzroku mego unikał.

– Wstydzilem się...

– Faryzeuszu! Owej nocy przyrzekłem ci solennie, że przy pierwszym spotkaniu obwieszę cię na pierwszej lepszej gałęzi lub na pierwszym lepszym krzaku. Pamiętasz?

– Pamiętam. Ale ty, jasny panie, racz o tym zapomnieć. Owej nieszczęsnej nocy byłem daleko od swoich, zbłąkałem się, głód mi doskwierał: uległem pokusie.

– Hm, pokusa ta często powtarzać się musiała.

– Jestem w gruncie rzeczy człowiekiem uczciwym.

– Aby dobrać się do tego gruntu, należałoby cię dobrze szablą obciosać.

– Przysięgam.

– Dość. Koniec końców odnalazłem cię i to w chwili, gdy przydać mi się możesz. A więc słuchaj, łotrze: pod pewnymi warunkami zrzec się mogę praw do twej skóry.

„Ja nie zrzeknę się prawa do zemsty” – mruknął do siebie opryszek.

A głośno wyrzekł:

– Ciałem i duszą należę do jasnego pana. Słucham rozkazów.

– Powiedz, gdzie Manuel?

– Na cmentarzu przy kościele Marii Panny. Ale o jedenastej ma wrócić do domu.

– Chodźmy tam; zaczekamy na niego.

– Jasny pan odważyłby się wstąpić w moje ubogie progi?

– Czemuż by nie!

– Kiedy bo...

– Byłoby twoje poddasze zbójceką pułapką, do której wstęp zagraża porządnym ludziom niebezpieczeństwem?

– Co za przypuszczenie!

– Chodźmy zatem.

Ben Joel usłuchał rozkazu, choć mu wcale nie było to po myśli.

– Pogadajmy trochę – rzekł w drodze Cyrano. – Kto to jest ten Manuel?

– Dobry kolega... jak ja.

– I czy tak samo jak ty ulega pokusom, o których wspominałeś?

– Och nie, nigdy – zapewnił z bójem z akcentem szczerości w głosie. – To charakter wspaniałomyślny i prawy.

Cyrano odetchnął głęboko.

– Jakiego jego pochodzenie? – badał dalej.

– Jest dzieckiem losu, jak my wszyscy.

– Zdaje się jednak, że posiada jakieś wykształcenie. Gdzie je nabył?

– Wszędzie i nigdzie. Zbierał je okruciami, przygodnie, jak ptak ziarna rozsypane po gościńcu. Jednak muszę wspomnieć o jednej okoliczności. Kiedy żył mój ojciec i banda nasza nie była jeszcze rozproszona (ojciec mój bowiem był jednym z wodzów pokolenia), przystał do nas pewien lekarz włoski, dobra dusza, który musiał opuścić ojczyznę z powodu jakiegoś pchnięcia szpada... zanadto trafnego... Jasny pan rozumie?

– Jak najlepiej. Mów dalej.

– Ten lekarz był bardzo uczony. Zajął się on Manuelem i przekonawszy się, że chłopiec ma zdolności, zrobił go swym uczniem. Nudziło się nieborakowi; szukał jakiegokolwiek rozrywki. Manuel zabrał się z całego serca do nauki i otóż dzięki temu potrafi dziś klecić piękne rymy dla młodych pięknych dam.

– A co się stało z Włochem?

– Umarł.

– Śmiercią naturalną?

– Najnaturalniej w świecie, objadł się zanadto i skończył z niestrawności. Poczciwiec zrobił się na stare lata straszonym obżartuchem.

– Wieczny mu odpoczynek! Powróćmy do Manuela. Mówiłeś mi, że to dziecko losu?

– Tak jest.

– Z tego samego plemienia, co i ty?

– Tak sądzę...

Cyrano ścisnął rękę Ben Joela jak kleszczami i przesywając go surowym wzrokiem, rzekł z mocą:

– Pewnyś tego?

– Na co to pytanie? – odparł Cygan z widocznym pomieszaniem.

– Ja bowiem o pochodzeniu Manuela sądzę inaczej!

– Cóż jasny pan sądzi?

– Że to jest dziecko skradzione!

– Skradzione! – powtórzył Ben Joel, blednąc mimowolnie.

– Tak, skradzione; nie przez ciebie, boś na to za młody, ale przez kogoś z twego plemienia, może przez ojca twojego.

– Ależ, dobry Boże – zauważył Ben Joel głosem dość naturalnym – i w jakimże celu miano by dziecko wykraść?

– Do kroćset! Aby zeń zrobić, co robią wszyscy tobie podobni! Aby posługiwać się nim jako przynętą w żebraniu; aby układać go jak psa gończego do kradzieży, a może i zbrodni; aby wreszcie później wymóc okup za niego na rodzinie! Pytasz, w jakim celu? Czyż ja mogę znać wszystkie wasze łotrowskie cele! To pewna

tylko, że ich nie brakuje.

– Niech jasny pan pozbędzie się swych podejrzeń. W Manuelu płynie krew nasza.

– Nie twierdź za wiele, bo zmuszę cię może do odwoływania tych twierdzeń! Zresztą, zanim posuniemy dalej indagację²⁰, wypytywać wpierw muszę Manuela.

Stanęli w tej chwili przed Domem Cyklopa.

– Prowadź – rozkazał Cyrano.

²⁰ *indagacja* – badanie, wypytywanie. [przypis edytorski]

VIII

Weszli obaj do środka.

Rozejrzawszy się w dolnej części domostwa, Cyrano poznał, że jest ona czymś w rodzaju nędznego zajazdu, gdzie każdej nocy znana już nam ohydna starucha za marną opłatą dawała schronienie włóczęgom ulicznym.

Było tu dniem i nocą jednakowo ciemno, na chwilę też nie gaszono lampy żelaznej zawieszanej u pułapu.

Ściśle rzecz biorąc, ten brudny i cuchnący dom noclegowy był piwnicą, mury jego bowiem, pozbawione okien, były z kamienia, a podłoga z ubitej ziemi.

W jednym z kątów znajdowały się schody drewniane, wąskie, kręte, spadziste, które wiodły na wyższe piętro, do nory wynajmowanej Ben Joelowi i jego kompanii. Trójka ta wyobrażała jedynych stałych mieszkańców domostwa.

W połowie schodów widać było wyżłobioną w murze komórkę, a w niej nakryte łachmanami łóżko. Było to legowisko staruchy, która żyła tam samotna, milcząca i zła, jak ropucha w wydrążeniu kamienia.

Mieszkanie Ben Joela składało się z dwóch części. Pierwsza z nich, wyglądająca w samej rzeczy na pokój i oświetlona wielkim okrągłym oknem – ślepiem Cyklopa – należała do Zilli. Był to rodzaj pracowni alchemicznej, wypełnionej retortami, naczyniami różnego kształtu, z piecem w głębi i łóżkiem

pokrytym wzorzystymi tkaninami w kącie. Widziało się tam jeszcze porzucone tu i ówdzie naczynia muzyczne oraz stary wazon ze świeżymi kwiatami na rzeźbionym, dębowym stole.

Nie znać tu było nędzy ani nawet niedostatku; wszystko oddychało tajemnicą, pozwalającą domyślać się największych niespodzianek.

Dziwna ta izba ujawniała duszę kobiety, a bardziej jeszcze kapłanki kultu czarodziejskiego. Klejnoty i stare księgi w pergaminowych okładzinach, pachnidła i trucizny, festony z jedwabnych tkanin i stalowe ostrza sztyletów mieszały się ze sobą w dziwnym, ale powabnym nieładzie.

Oddychało się tu atmosferą drażniącą i słodką zarazem, która odurzała jednocześnie mózg i duszę.

Drugą część mieszkania zajmowali: Ben Joel i Manuel. Było to najpospolitsze w świecie podstrysze z małym okienkiem wychodzącym na dach.

Cygan wprowadził poetę do komnaty Zilli, oddzielonej wąskim korytarzykiem od jego izdebki.

Cyrano nie bez zdziwienia rozglądał się po tym osobliwym mieszkaniu i nie wznawiając już drażniącej rozmowy z Ben Joelem zasiadł w milczeniu, oczekując powrotu improwizatora.

Gdzieś daleko wybiła jedenasta.

Jeszcze nie przebrzmiały dźwięki zegara, gdy zjawił się Manuel.

Spostrzegłszy Cyrana goszczącego w mieszkaniu swoich towarzyszków, zdziwił się i zaniepokoił, co nie uszło uwagi

szlachcica.

– Dziwi cię moja obecność? – zapytał przyjaźnie.

– Rozumie się. Nie wiedziałem, że Ben Joel ma interesa²¹ z jaśnie panem.

– Nie o Ben Joela tu chodzi, lecz ciebie.

– O mnie?

– Tak. Musimy pomówić ze sobą o rzeczach wielkiej wagi.

Przy tych słowach twarz Cyrana przybrała ten wyraz uroczysty, jaki widzieliśmy już na niej owego wieczora, gdy gościł u Jakuba Szablistego, proboszcza w Saint-Sernin.

Ben Joel, stojąc przy oknie, wpatrywał się w szlachcica z natężoną uwagą.

Cyrano wskazał mu drzwi.

– Zostaw nas samych – rzekł rozkazująco.

Cygan skłonił się, przeszedł z wolna przez pokój i zniknął. Gdy znalazł się sam, mruknął z powstrzymywaną wściekłością:

– Szukaj, wypytuj, węszyć, ile ci się tylko podoba: ja, mimo wszystko, trzymam cię silnie i – do wszystkich diabłów! – nie puszcę, dopóki nie wyrównamy ze sobą rachunku owej nocy. Trzeba mi złota albo krwi i będę miał jedno albo drugie.

Po wyjściu Ben Joela Sawiniusz zamknął starannie drzwi, posunął krzesło pod okno, to jest jak najdalej od wejścia i zwracając się do Manuela, rzekł:

– Siadaj!

Młodzieniec usiadł. Powaga malująca się w twarzy gościa

²¹ *interesa* – dziś: interesy. [przypis edytorski]

nakazywała mu szacunek i posłuszeństwo.

Szlachcic zajął miejsce naprzeciw niego.

– Przybyłem tu w sprawie, która ciebie osobiście dotyczy – zaczął. – To przede wszystkim zaznaczyć trzeba. A teraz: czy zechcesz odpowiadać jak najszczerzej na moje pytania?

– To zależy od pytań.

– Trzeba odpowiedzieć stanowczo: tak lub nie – podjął z pewną niecierpliwością Cyrano.

Manuel wpatrywał się przez długą chwilę spod oka.

– A więc: tak!

– To dobrze. Teraz idźmy porządkiem. Czy kochasz pannę Gilbertę de Faventimes?

– Panie! – wyjąkał Manuel i zrobił ruch, jakby chciał wstać i uciec.

– Kochasz ją – rzekł Cyrano, zatrzymując go na miejscu pełnym siły spojrzeniem. – Wczorajsza improwizacja nie była dziełem czystej fantazji. Twój wzrok, twoja postawa, całe zachowanie się twoje, mówiły o tym wyraźniej jeszcze od wierszy. Hrabia Roland miał słuszność, będąc zazdrosnym.

Manuel podniósł czoło ruchem wyniosłym.

– A gdyby tak było? – zapytał z miną człowieka zdziwionego, że ktoś śmie zapuszczać wzrok w najtajniejszy zakątek jego serca.

– Zgoda, wystarczy mi to – podjął spokojnie Cyrano. – Ale podejrzewam, że ośmielając się podnieść oczy aż tak wysoko, musiałeś mieć w tym jakieś jeszcze wyrachowanie.

– Bynajmniej... Kochałem, wyznałem swą miłość i dość na tym. To był najwyższy i jedyny cel mojej ambicji.

– W takim razie, mój drogi, jesteś szaleńcem!

– Dlaczego? Składałam hołd kobiecie, której wdzięk i piękność oczarowały mnie. To moja osobista sprawa. Co jej do tego, skoro mnie nie kocha?

– Przypuszczałem co innego.

– Co mianowicie?

– Przypuszczałem, że nie mogąc liczyć na to, aby panna Gilberta zniżyła się do ciebie, postarałeś się o środki wzniesienia się aż do niej.

– Nie chcę nikogo w błąd wprowadzać. Tak nie było i tak nie jest.

– Naprawdę?

– Upewniam pana. Więcej nawet: przysięgam panu.

– Tak więc – rzekł Cyrano głosem zdradzającym pewnego rodzaju zawód i jakby rozczarowanie – nie jesteś niczym więcej, tylko Cyganem, żebrakiem, może tylko cokolwiek odważniejszym od innych?

– Niczym więcej – poświadczył skromnie Manuel.

– I nie masz żadnej co do tego wątpliwości?

– To jest... zdaje mi się... – jąkał młodzieniec, dziwnie wzruszony i zmieszany tonem, jakim to pytanie było zadane.

Cyrano przysunął się doń z krzesłem.

– Opowiedz mi swoją przeszłość – rzekł głosem budzącym zaufanie. – Mówiłem ci już, jak się zdaje, że masz do czynienia

z przyjacielem.

Manuel uśmiechnął się.

– Ach, Boże! – zaczął w sposób prawie żartobliwy – cóż może być ciekawego w moim życiu? Podobne ono do życia każdego z braci moich! Nieustanne włączanie się z miejsca na miejsce; na przemian: nędza i dostatek; noclegi pod gołym niebem; dni pochmurne, dni słoneczne; suchy chleb przez cały miesiąc, obfite uczty przez tydzień, a na uwieńczenie wszystkiego: zupełna obojętność na los, która podwaja wartość szczęścia i pozwala przyjmować wesoło niedolę.

– To są ogólniki. Idźmy dalej.

– Cóż może być dalej!

– O przeszłości swej nicze nie wiesz²²?

– Prawie nic.

– To „prawie nic” może mieć swe znaczenie. Wyjaśnij mi je.

– Prawdę rzekłszy, nie sędzę, abym należał do rodu Ben Joela.

Z piersi Cyrana wybiegło westchnienie ulgi.

– Na czym opierasz swą wątpliwość?

– Na wspomnieniach.

– Widzisz zatem, że coś pamiętasz z przeszłości.

– Cóż z tego! Jeżeli wypadkiem jestem podrzutkiem, któż mi zwróci moją rodzinę?

– Pewni ludzie – zauważył ze szczególnym naciskiem Cyrano

– potrafią odnaleźć igłę w stogu siana. Pochlebiam sobie, że do

²² *nicze nie wiesz* – konstrukcja z partykułą wzmacniającą *-że*; znaczenie: czy nic nie wiesz. [przypis edytorski]

tych ludzi należą.

Manuel zerwał się gwałtownie ze stołka. Oczy jego błyszczały, w piersiach szybko się podnoszących głośno kołatało serce.

– Panie, pan wiesz coś o tym?! – zawołał w uniesieniu. – Zaklinam cię: wyjaw mi to!

– Ciągnij dalej swe opowiadanie! – rozkazał zimno Sawiniusz.

– Cóż pan chce jeszcze usłyszeć?

– Wspomnienia twoje, najmniej znaczące dla ciebie, mogą mieć dla mnie wartość nieocenioną: decydującą.

Improwizator milczał przez chwilę, zbierając myśli. Potem rzekł:

– Rzeczą, która najtrwalej zapisała się w mojej pamięci, jest mieszkanie ojca Ben Joela. Przebywałem tam z jego synem, dzisiejszym towarzyszem włóczęgi, z jego siostrą Zillą, wówczas jeszcze maleńką, i z jednym jeszcze dziecięciem, które zmarło w kilka lat później.

– Otóż to! A jak było na imię temu dziecięciu?

– Ben Joel wołał na nie: Samy; ja zaś, nie wiem dlaczego, nazywałem je Szymonkiem.

Cyrano „Nieustraszony”, który nie doświadczyłby wzruszenia przed ostrzami dwudziestu szpad, na dźwięk tego imienia pobladł i zadrżał. Zauważył to młodzieniec i zatopił w nim wzrok pełen ciekawości i niepokoju. Szlachcic nierad był temu, odzyskując więc natychmiast zimną krew, zapytał głosem zupełnie już spokojnym:

– Szymonkiem, mówisz? A czy przed tym dziecięciem i tymi Cyganami nie znałeś innych jeszcze osób?

– Gdy wyteżam pamięć, mającą mi się jeszcze przed oczami postacie jakichś starców i kobiet... dalej inne dzieci, starsze ode mnie... jedno zwłaszcza... szczupłe... z miną zawadiacką... z głosem pewnym siebie...

– Cóż to za dziecko?

– Niech pan zaczeka... – i Manuel jął pocierać czoło, zagłębiając się myślą w dalszych wspomnieniach. – To dziecko znajdowało się prawie nieustannie przy mnie i często... często biło mnie.

– Nie zapomina się nigdy tych, co nas bili – zauważył nawiasem Cyrano. – Kij jest niezrównanym środkiem na wzmacnianie pamięci.

– To dziecko biło mnie, a jednak bardzo je kochałem – ciągnął Manuel. – Jego imię?... Zdaje się, że przypomnę sobie to imię...

– Na Boga, wymień je! – zawołał Cyrano, zrywając się ze stołka.

Gdyby Manuel zwrócił był w tej chwili wzrok na poetę, dostrzegłby, że silnie dysząca pierś podnosi jedwab jego kaftana i że duże krople potu perlą się na jego czole.

Ale uwaga młodzieńca zajęta była czym innym.

Manuel zapomniał na chwilę o człowieku, którego miał przed sobą; myślał o sobie samym, o tym, czym był, o tym, czym mógłby być, i przeróżne fantastyczne obrazy snuły mu się przed

pełnymi niepokoju, prawie obłąkanymi oczyma.

– Mówże! Czemu nie mówisz? – krzyczał Cyrano, ściskając z całej mocy jego rękę i potrząsając nią silnie, aby wyrwać młodzieńca z zamyślenia.

– Szukam w pamięci tego imienia – szeptał Cygan na pół nieprzytomnie. – Zdaje mi się chwilami, że już je mam na ustach, ale gdy chcę je wymówić, ulatuje i znika!

– Wytęż pamięć jak najmocniej!

– Mam je! – wykrzyknął wreszcie Manuel tryumfująco.

– Na koniec!

– To dziecko, które tak bardzo kochałem... ten towarzysz najwcześniejszych lat moich... nazywał się... tak, nie mylę się tym razem...

– Nazywał się?

– Sawiniusz!

Wykrzyknął to imię z pośpiechem, jakby obawiał się, żeby mu znów nie uleciało, a po chwili powtórzył je raz jeszcze powoli, sylaba po sylabie, chcąc upewnić się, że to te same dźwięki, które go kiedyś w dzieciństwie radowały.

Cyrano wyprostował się, już nie poważny i surowy, lecz promieniejący radością, zwycięski. Przyjazny uśmiech zjawił się na jego ustach; głos zadźwięczał wesoło i czule.

– Sawiniusz – rzekł, ściskając palce młodzieńca tak silnie, jakby je chciał skruszyć – ten urwis i ladaco, ten niedobry chłopiec, który bił trzepaczką małego ucznia, gdy mylił się w lekcjach szermierki, ten Sawiniusz wyrósł, postarzał się, ale

przeszłości nie zapomniał.

– Znasz go pan?

– Czy go znam? Nazywa się Sawiniusz, ale nosi też nazwisko Cyrana de Bergerac. Ach, stary Lembrat zadrzeć musiał w swym grobie! Chodź, chłopcze, w moje objęcia! Niech cię uścisknę i ty uściśnij mnie także!

Cyrano otworzył ramiona.

– Pan jesteś... Sawiniusz! – wyjąkał Manuel drżącym ze wzruszenia głosem, płacąc szlachcicowi uściskiem za uścisk.

Potem nagle zapytał:

– Któż więc ja jestem?

– Nie jesteś już Manuelem, precz z tym przezwiskiem cygańskim! Nazywałeś się Ludwik de Lembrat. Jesteś bratem hrabiego Rolanda.

Manuel przymknął oczy, jakby ogłuszony ciosem obucha. To, co usłyszał, wydawało mu się igraszką fatalności, okrutną ironią losu, która za chwilę pograży go na powrót w ciemną otchłań nędzy.

Z bolesnym namysłem zapytał:

– Nie zwodzisz mnie pan? Nie czynisz sobie igraszki z mojej łatwowości?

– Najpierw – przerwał żywo Cyrano – daj mi dowód przyjaźni, mówiąc do mnie: ty, jak to dawniej bywało. Następnie dowiedz się, że ja nigdy nikogo nie zwodzę.

Wątpliwości Manuela rozwiały się.

– Ach, przybywa do mnie szczęście! – wyrwało mu się jakby

nieumyślnie i jakby w odpowiedzi na tajemne pragnienie. – Lecz skąd panu przyszło do głowy...

– Jeszcze? – upomniał go Cyrano.

– Skąd przyszło ci do głowy – poprawił się, ściskając serdecznie rękę rycerskiego poety – szukać Ludwika de Lembrat pod łachmanami Manuela?

– W sposób bardzo prosty. Przyjrzałem się dokładnie twemu obliczu.

– Nie rozumiem.

– Zaraz zrozumiesz... Czy znasz to?

Sawiniusz wy dostał z kieszeni ozdobne pudełeczko i obróciwszy do światła, otworzył.

W pudełeczku znajdował się portret młodzieńca w wytwornym stroju myśliwskim.

– To ja! – zawołał zdumiony Manuel.

– Nie, to twój ojciec w dwudziestym roku życia, w dzisiejszym wieku twoim. Zrozumiałeś zatem, dlaczegom cię poznał od pierwszego spojrzenia? Twoje oczy, twój uśmiech, chód, wszystko, aż do dźwięku twej mowy, wołało do mnie wielkim głosem: „Stary Lembrat odrodził się w swym synu”! Oto powód, dla którego kazałem śledzić cię i dla którego poddałem cię badaniu. Nawet przy największym zewnętrznym podobieństwie ostrożnym być trzeba. Przemówiłeś, wypowiedziałeś się, z ust twych wybiegło moje imię: teraz już wszelkie wątpliwości muszą ustąpić!

– Ach... Sawiniuszu – zawołał młodzieniec, dając ujście

uczuciom przepelniającym mu serce – ileż ja ci zawdzięczam!
Teraz już wolno mi kochać, nieprawdaż?

– Samolubie! – uśmiechnął się szlachcic – o tym potem. Rzecz teraz najpilniejsza – to zmusić Rolanda, aby uznał w tobie brata. Do tego nie wystarczy moje ani twoje świadectwo. Tu trzeba dowodów bardziej przekonywających.

– Dowodów? – powtórzył Manuel, uczuwając nagle w sercu zimno śmiertelne.

– Ależ tak, bezwarunkowo. Nie mogę przecież pójść do hrabiego i powiedzieć mu po prostu: „Oto pański brat”.

Gorzki uśmiech wykrzywił usta Cyrana. Znał on aż nazbyt dobrze Rolanda de Lembrat. Wiedział z góry, jakie uczucia zbudzi w nim to oświadczenie.

– Nie dałby mi wiary – ciągnął po chwili – gdybym to mu jedynie powiedział. Nieobecni zawsze sprawę przegrywają, zwłaszcza gdy są braćmi i gdy przybywają po piętnastu latach, zbrojni w niezaprzeczone prawa i upominają się o należne sobie miejsce. Nawet to prawo pisane, którym ludzie się rządzą, oświadczyłoby się przeciw nam, mimo wszystkiego, co mógłbym powiedzieć... mimo wszystkiego, co wiem – dokończył prawie szeptem.

– Jeśli chodzi o dowody – oświadczył nagle Manuel – będziemy je mieli.

– Skąd?

– Ojciec Ben Joela był głową liczego pokolenia, dziś już rozproszonego i, jako taki, utrzymywał księgę, w której

zapisywano wszelkie ważniejsze wypadki, jakie w ciągu długich lat zaszły w jego rodzie.

– A zatem?

– W księdze tej znajdować się musi ślad przybycia mojego i Szymona do bandy Ben Joela.

– W jakim celu miano by utrwać w ten sposób fakt będący wynikiem czynu kryminalnego?

– Nie wiem. Może po to, aby kiedyś, przez wydobyć go na jaw, zapewnić bandzie korzyść materialną; a może dlatego po prostu, aby zapobiec w przyszłości omyłce rodowej i nie brać synów obcego plemienia za czystą krew egipską.

– Ech, ludziom tym obce są podobne skrupuły genealogiczne!

– Jesteś w błędzie. Stary Joel znał najdokładniej historię każdej z rodzin swego pokolenia. Zapisywał jak najstaranniej wszystkie narodziny i małżeństwa i mógł być w potrzebie wyliczyć poczet przodków dłuższy od najdłuższego, jakim poszczycić się potrafi stara szlachta francuska.

– Pomińmy to. Tyś zresztą nie należał do pokolenia.

– Niejednokrotnie – ciągnął Manuel – gdyśmy włóczyli się po Francji, widywałem przyprowadzane do obozowiska dzieci, które skradziono lub też kupiono. Za każdym razem przybysza takiego okazywano Joelowi, który pytał go o imię, zapisywał do księgi i mówił:

– Należysz odtąd do naszych.

Nadawał mu następnie inne przez siebie wybrane imię, które zapisywał obok tamtego, i dziecię odchodziło, łącząc się z

dziatwą cygańską, od której zresztą łatwo je było odróżnić. W ten sposób Szymon został Samym, a ja Manuelem. To, co widziałem, że czyniono z drugimi, uczyniono też bez wątpienia i ze mną.

– Prawdopodobnie. Gdzie jest ta księga?

– U Ben Joela.

– W takim razie o wszystkim łatwo się dowiemy.

Cyrano otworzył drzwi dość szybko, aby spostrzec Ben Joela, gwałtownie od nich odskakującego. Cygan podsłuchiwał – a jeśli nie mógł pochwycić całej rozmowy, to w każdym razie główna jej treść stała mu się wiadoma.

Szlachcic ujął go za ucho i rzekł groźnie:

– Podsłuchiwałeś, szpiegu?

– Jasny panie!

– Chodź tu!

Pociągnął go do pokoju Zilli.

– Odpowiadaj natychmiast: coś usłyszał?

– Nic, jasny panie, zapewniam.

– Kłamiesz. Wiedz zresztą, że w tej chwili jest dla mnie najzupełniej obojętne, czy ci wiadomo, o czym mówiliśmy. Nie potrzebuję czynić z tego tajemnicy przed tobą. Jeśli więc twe długie uszy dobrze ci tym razem usłużyły, wyznaj, a oszczędzisz mi niepotrzebnych wyjaśnień.

Ben Joel spokorniał.

– Wybacz, jasny panie – zamruczał niewyraźnie – nudziło mi się samemu w izbie i... prawie nieumyślnie...

– Podchwyciłeś, co do ciebie nie należało?

– Aby uprościć sprawę, jak jasny pan twierdzi, przyznaję, że tak było w samej rzeczy.

– Wiesz zatem o odmianie losu Manuela?

– I cieszę się z niej serdecznie. Zawsze to jest miło, jasny panie, być świadkiem szczęścia swych przyjaciół.

– Zwłaszcza gdy znajdują się oni naraz w możliwości świadczenia dobrodziejstw, nieprawda?

– Możesz być pewnym – wtrącił Manuel – że o tobie nie zapomnę. Przez lat piętnaście byłem twym gościem; ludzie, którzy byli sprawcami mego nieszczęścia, już nie żyją; wicehrabia Ludwik de Lembrat nie wyprze się tych, których nędzę podzielał Manuel.

– Przejdźmy do rzeczy pilniejszych – przerwał Cyrano. – Do ciebie zwracam się, Ben Joelu.

– Słucham, jasny panie.

– Co ci wiadomo o Manuelu? Czy księga, o której wspominał mi on przed chwilą, zawiera ważne szczegóły o jego pochodzeniu?

– Zapisano w niej imię oraz różne inne okoliczności towarzyszące jego znalezieniu.

– Chcesz powiedzieć: ukradzeniu.

– Nie mówi się głośno o takich rzeczach.

– Niech i tak będzie! Data porwania?

– 25 października 1633 roku.

– Miejsce.

– Wioska Garrigue, w pobliżu Fougerolles.

– Czy w księdze znajdują się jeszcze inne szczegóły?

– Tak, odnoszące się do śmierci Samy'ego, dziecka, które przybyło równocześnie do nas z Manuelem.

– Gdzie jest ta książka?

– Tam!

Ben Joel wyciągnął rękę, pokazując w rogu komnaty skrzynię dębową z ciężkim, żelaznym okuciem.

– Daj mi ją – rozkazał Cyrano.

W tej chwili Cygan, zrzucając od razu maskę pokory i uniżoności, wyprostował się zuchwale, jak człowiek pewny swej siły i głosem spokojnym, ale stanowczym, odrzekł:

– Po co, jasny panie?

– Po to, naturalnie, aby przy jej pomocy stwierdzić pochodzenie i tożsamość Manuela.

Ben Joel i Cyrano skrzyżowali spojrzenia, przy czym szlachcic musiał w oczach Cygana wyczytać coś niepożądanego, gdyż ściągnął brwi i poruszył się niecierpliwie.

– Dla stwierdzenia tożsamości Manuela – podjął Ben Joel tym samym, powolnym a silnym, głosem – wystarczy tymczasem moje świadectwo.

– Cóż to, śmiesz być nieposłusznym? – wyrzekł groźnie Cyrano, kręcąc koniec wąsa w drżących z niecierpliwości palcach i dziwiąc się własnej tak długiej pobłażliwości.

Ale zimna krew Ben Joela wzmagająca się w miarę rosnącego gniewu Cyrana. Człowiek ten w jednej chwili obmyślił plan

postępowania, który miał zaspokoić równocześnie jego zemstę i chciwość.

Chłosta otrzymana na drodze do Fougerolles paliła dotąd jeszcze jego plecy, uśmiechał się więc w głębi duszy do swych myśli, które oddawały mu w zależność człowieka tak bardzo znienawidzonego.

– Jeżeli zajdzie potrzeba okazania księgi sądowi – dorzucił, nie zmieniając tonu – sam mu ją przedstawię. Nie chcę – słowo to wymówił ze szczególnym naciskiem – nie chcę powierzać jej w cudze ręce.

– A! – wrzasnął Cyrano, podchodząc do niego – tak bardzo zatem szacujesz tę relikwię, mości Joelu?

– Tak, bardzo ją szacuję.

– Doprawdy?

– Najpierw jako relikwię.

– Następnie?

– Jako zakład.

– Pojmuję cię, łotrze! Nie chcesz dostarczyć potrzebnego dowodu inaczej jak za gotówkę.

– Ten dowód, jasny panie, podnosi cenę mojej osoby. Straciłbym ją, gdybym się go pozbył.

– Mniejsza o to! Gdy będzie trzeba, sąd potrafi otworzyć ci ręce.

Na tę pogróżkę Manuel, który nie mieszał się dotąd do sporu, przystąpił do Cygana i rzekł:

– Cóż to, Ben Joelu, nie masz do mnie zaufania? Zdaje mi się,

żem ci nie dał do tego powodu?

– Nie mam zaufania do losu – odrzekł ostrożnie awanturnik.

Cyrano ujął Manuela pod ramię i skierował się do wyjścia.

– Chodź ze mną – rzekł. – Zaprowadzę cię do swego mieszkania, będziemy tam mogli swobodniej rozmawiać, a dzisiejszego jeszcze wieczora, jutro najpóźniej, poznasz brata i odzyskasz należne ci imię i stanowisko. Do rychłego zobaczenia się, Ben Joelu.

– Do usług pańskich, panie szlachcicu. Bez urazy, Manuelu.

W chwili, gdy młody wicehrabia de Lembrat i Cyrano opuszczali Dom Cyklopa, po ustach Ben Joela przemknął uśmiech milczący, który jednak zaraz zniknął, ustępując miejsca kurczowemu wąskich warg skrzywieniu.

Temu drapieżnemu ostrowidzowi, pełnemu nienawiści i krwiożerczych instynktów, ale zarazem niesłychanie ostrożnemu, mignęło w oddaleniu niewyraźne widmo przyszłości...

Lekkie kroki Zilli w korytarzu wyrwały go z posępnych marzeń.

– Bywaj, dziewczyno! – wykrzyknął. – Wielka nowina!

– Co takiego? – spytała Zilla, zrzucając z ramion czarny płaszcz.

– To, kochaneczko, że nie wiedząc o tym, hodowaliśmy u siebie przez lat piętnaście wielkiego pana.

Wróżka pobladła, a jej oczy, wielkie i jak noc głębokie, zabłyśły.

– Wielkiego pana? – powtórzyła, domyślając się prawdy, a jednak pragnąc, ażeby okazała się złudzeniem.

– Tak, tak, bardzo wielkiego. Rozejrzyj się, kogo tu brakuje?

– Manuela.

– Tak. Manuela, a raczej – tu opryszek zgiął się wpół, składając niski pokłon komuś nieobecnemu – jaśnie wielmożnego wicehrabiego Ludwika de Lembrat, pana na Fougerolles.

– Gdzie dowód?! – krzyknęła groźnie Zilla.

– Złożyłem go, komu należało.

– Ty!

Wykrzyknikowi temu towarzyszyło spojrzenie piorunujące.

Ben Joel nic sobie nie robił z wykrzyknika i ze spojrzenia.

– Chcesz wiedzieć, panienko, jak się rzecz odbyła? Posłuchaj.

W kilku słowach opowiedział Zilli, co zaszło pomiędzy nim a tamtymi dwoma.

Dziewczyna wysłuchiwała opowiadania w głębokim, prawie martwym milczeniu. Nie wyrzekła też ani słowa przez resztę dnia, którą spędziła, siedząc nieruchomo na jednym miejscu, z głową ściśniętą rękami, pogrążona w ponurej zadumie.

Ben Joel, powróciwszy wieczorem do domu znalazł ją w tej samej pozycji, w jakiej zostawił, wychodząc.

– Śpisz, Zillo? – zapytał.

Nie podnosząc na chwilę bladego czoła, odrzekła:

– Nie.

– Nic nie jadłaś od rana. Chodź na wieczerzę.

- Dziękuję.
- Nie głodnaś?
- Nie.
- Jak chcesz.

Ben Joel zabrał się do jedzenia. Po pewnym czasie zapytał:

- Słuchaj no, Zilla, co tobie?
- Nic.

– Nieprawda! Coś ci dolega. Czy to nieobecność Manuela pozbawiła cię apetytu? Więc ty go naprawdę kochasz, skryta dziewczyno?

- Co ci do tego?

– Nie wiadomo. Wiesz, że ja tylko twoje szczęście mam na celu.

Wstała i sztywna, wyprostowana, postąpiła ku bratu.

– Czemuś pozwolił mu odejść? – spytała głucho, obrzucając go błyskawicami czarnych oczu.

- Alboż nie jest wolny?
- Dlaczegoś podsunął mu tę myśl ambitną?
- Dziecinną jesteś! Ja mu nic nie mówiłem.
- Czy to prawda, że jest szlachcicem?

– Trudno o tym wątpić – zaśmiał się szyderczo. – Moje dowody stwierdzają to w zupełności.

- Niech będą przeklęte!
- I dlaczegoś to, siostruniu?

– Dlatego – wykrzyknęła Zilla, pokonana nareszcie przez ból serdeczny – że Kocham Manuela i że on teraz dla mnie stracony!

– A, przyznajesz się zatem?

– Tak – podjęła z nowym wybuchem – przeklinam szczęście, które go wynosi wysoko, bo mnie strąca ono w przepaść. Zanim upłynie tydzień Manuel może już nawet imion naszych zapomni.

– O, bądź spokojna, nie zapomni.

Zilla nie pojęła właściwego znaczenia tych słów.

– A gdyby ktoś – rzekła tajemniczo, pochylając się do brata, zdziwiona i jakby ośmielona tonem jego ostatniej odpowiedzi – gdyby ktoś usunął dowód przywracający Manuelowi nazwisko de Lembrat, jakbyś wówczas postąpił, Ben Joelu?

Opryszek mrugnął oczyma znacząco.

– Nie głupiaś, panienko – uśmiechnął się. – Jednak pozwól, że ci dam jedną dobrą radę.

– Jaką?

– Trzymaj język za zębami i... czekaj.

IX

Wieczorem tegoż samego dnia liczne i świetne towarzystwo napełniało salony margrabiego de Faventines.

Gilberta, odsuwająca się jak najdalej od światła, słuchała z miną roztargnioną czułych słówek Rolanda; margrabina w gronie kilku starych arystokratów i dwóch czy trzech dam, które były pięknymi i młodymi za czasów nieboszczyka Ludwika Trzynastego, gawędziły swobodnie; pan domu wreszcie, siedząc przy stole pomiędzy dwoma gośćmi o twarzach nadzwyczaj poważnych, wysłuchiwał cierpliwie uwag jakiejś sztywnej, czarno ubranej osobistości, zajmującej miejsce na wprost niego.

Osobistością tą, godną oddzielnej wzmianki, był imćpan Jan de Lamothe, starosta paryski. Jegomość ten z wyschłą, żółtą twarzą, o rysach wydłużonych, z małymi oczkami, które żarzyły się jak para węgli pod pozbawionymi rzęs powiekami, o wąskich, chytrze uśmiechniętych ustach, o czole pobrużdżonym przez zmarszczki, ujawniające bardziej zaciętość niż wysiłek umysłowy, nic nie miał w całej postaci takiego, co by na jego korzyść przemawiało.

Nie był to zresztą człowiek zły. Zajmując się pilnie naukami ścisłymi, bywał szorstki, a częstokroć i niesprawiedliwy we wszystkim, co się do studiów uczonych odnosiło, nie przenosił jednak tej zgryźliwości i gwałtowności do spraw dotyczących urzędu.

Imćpan Jan de Lamothe miał ton mowy kaznodziejski, gesta²³ szerokie i uroczyste, i jeśli nie zawsze bronił spraw słusznych – jak o tym zaraz się przekonamy – bronił ich przynajmniej z dobrą wolą i przeświadczeniem – o trafności swych sądów.

Na stole, przy którym siedział starosta z trzema towarzyszami, rozpostarty był wielki arkusz papieru. Na tym papierze Jan de Lamothe nakreślił figury astronomiczne i z palcem wspartym na swym dziele, z okiem rozplómięnym, ciągnął swój wykład, zdając się nie dostrzegać znużenia słuchaczy.

Tym razem wybrał on za cel krytycznych pocisków Cyrana de Bergerac, twórcę teorii, które według niego groziły wywróceniem całego porządku świata. Przedmiot ten, jak się zdaje, silnie zagrzewał jego wyobraźnię, gdyż w zapale rozprawiania nie spostrzegł się nawet, jak głos jego, przekroczywszy rejestr tonów średnich, dostał się między tony najwyższe i – najpiskliwsze.

– Nie inaczej, panowie! – wykrzyknął, unicestwiwszy ostatnim, najsilniejszym argumentem swego fikcyjnego przeciwnika, gdyż Cyrana tam nie było – człowiek, który ośmiela się zaprzeczać prawom tak oczywistym, zasługuje, aby go spalono żywcem na publicznym placu.

– Ech, ech! – zauważył dobrotliwie margrabia – także to waszmość traktujesz naszego przyjaciela Cyrana? I cóż on ci wreszcie zrobił?

– Co zrobił? Ależ to szalona pałka! Umysł

²³ gesta – dziś: gesty. [przypis edytorski]

najprzewrotniejszy²⁴ w świecie! Sługa i sprzymierzeniec czarta!
– Ja, co najwyżej, poczytałbym go za narwanego.
– Powiedz pan raczej: za najniebezpieczniejszego pod słońcem furiata – oburzył się starosta.

I zaraz dodał tonem miażdżącym oponenta:

– Alboż nie strzeliło mu do głowy twierdzić, że Księżyc jest zamieszkaany?

– Herezja, mości starosto, herezja! – rzekł margrabia, powstrzymując śmiech.

– I że Ziemia obraca się!

– Błuznierstwo!

– Cóż może być bezpośrednim następstwem takich twierdzeń? Wywrócenie zupełne porządku społecznego: koniec świata po prostu. Ten Bergerac to nie człowiek; to Antychryst.

– Czy nie posuwasz się pan za daleko, mości de Lamothe? Bergerac jest przyjacielem i stałym bywalcem naszego domu.

– Pan go przyjmujesz?

– Ależ tak! Sam byś się o tym przekonał, mości starosto, gdybyś nie skąpił nam tak bardzo swych odwiedzin.

– Wiedza jest panią despotyczną: nie ma względów ani litości – oświadczył, jakby na usprawiedliwienie swe, starosta.

– Upewniam cię, przyjacielu, że Bergerac zyskuje na bliższym poznaniu i że nie czuć go bynajmniej smołą gorącą, choć w istocie twierdzi, że Księżyc jest zamieszkaany i że Ziemia się obraca.

²⁴ *najprzewrotniejszy* – dziś: najbardziej przewrotny. [przypis edytorski]

– Ale otóż to właśnie najbardziej mnie rozdrażnia! Nie obraca się ona ani trochę, mogę ci to raz jeszcze okazać jak najdowodniej.

Margrabiemu opadła głowa na piersi. Nie był na ten nowy cios przygotowany. Wzrok żebrzący pomocy i zmiłowania zwrócił na towarzyszków swych, ale ci zasypiali już snem błogosławionych w olbrzymich, miękko wysłanych fotelach. Drugie ramię Jana de Lamothe wyciągnęło się ponownie nad stolikiem i nad rozłożoną na nim kartą nieba.

– Uważaj pan dobrze – wyrzekł głosem nosowym. – To małe kółko przedstawia Księżyc, to drugie Ziemię, a ja... ja wyobrażam Słońce.

– Wcale skromna rola... – mruknął de Faventines między dwoma nieznacznymi ziewnięciami.

Po tym wstępnym objaśnieniu uczony przystąpił do rzeczy. Podczas gdy rozwijał z największym zapałem swe teorie, popierając je krzykliwymi argumentami, drzwi salonu otworzyły się z wolna i wszedł Cyrano de Bergerac.

Margrabia milczącym znakiem wskazał przybyszowi zaciętrzewionego mędrca, młodzieniec zatem, przywitawszy Gilbertę i jej matkę i ujawszy pod ramię Rolanda, zbliżył się do stołu, który przez uczonego starostę zmieniony był chwilowo w trybunę.

Jan de Lamothe nie domyślał się obecności wroga stojącego nieruchomo za jego fotelem.

– *Ergo*²⁵, kochany margrabio – kończył swą rozprawę – Cyrano de Bergerac jest oszustem, albowiem Ziemia nie obraca się i obracać nie może, gdyż jest płaska, jak tego dowiódł znakomity Jan Grangier.

– Otóż właśnie obraca się – wyrzekł w tej chwili mocnym głosem Cyrano – na powierzchni zaś jej nie ma z pewnością nic bardziej płaskiego nad pańskie dowodzenia.

Starosta przechylił się gwałtownie na bok, jakby nad uszami zagrzmiała mu trąba Sądu Ostatecznego.

– A! – wykrztusił wreszcie, gdy go trwoga ominęła – to pan zarzucasz mi nieprawdę?

– Tak, ja – odrzekł, śmiejąc się, poeta. – Gotów też jestem natychmiast dowieść tego, jeśli pan zechcesz mnie wysłuchać i jeśli damy zezwolą.

Jan de Lamothe ściągnął brwi. Ale w gruncie był niezmiernie rad zdarzeniu. Przeciwnika trzymał w ręku – z rozkoszą pokona go, zmiażdży, unicestwi.

Skupiono się dokoła zapaśników. Walka obiecywała być zajmującą.

– Tak więc, mój panie – zaczął starosta, rozsiadając się dumnie na wprost Cyrana i starając się wziąć go od razu z góry – podtrzymujesz pan dotąd jeszcze swą nieszczęsną utopię? Ależ to są, mój panie, drwiny ze wszystkich, którzy ramoty twoje czytają. Skąd pan wyrwałeś ten koncept, że Słońce jest nieruchome, kiedy każde dziecko widzi wyraźnie, że się ono

²⁵ *ergo* (łac.) – więc, zatem. [przypis edytorski]

porusza? I na jakiej zasadzie odważasz się pleść, że Ziemia szybko się obraca, kiedy wszyscy czujemy ją pod stopami mocną i niewzruszoną?

Cyrano nie brał bynajmniej do serca ani niegrzecznych słów mędrca, ani jego litościwych wzruszeń ramionami i, uśmiechając się, tonem żartobliwym odparł:

– Ech, mości starosto, o co się spierać? Rzecz jest niesłychanie prosta i będę miał zaszczyt wytłumaczyć ją zaraz w sposób dla wszystkich zrozumiały.

Jan de Lamothe uczynił poruszenie, jakby chciał coś powiedzieć.

– Niech się pan nie gniewa i niech raczy cierpliwie posłuchać – przerwał mu pośpiesznie Sawiniusz. – Rozpowszechniło się wśród ludzi mniemanie, że Słońce tkwi w samym środku naszej sfery, wszystkie bowiem ciała w przyrodzie potrzebują niezbędnie jego światła i ciepła.

– Wstęp niedorzeczny – mruknął starosta.

– Otóż – ciągnął poeta – Słońce znajduje się w samym sercu świata, aby karmić go i ożywiać, tak właśnie jak pestka w śliwie, jak jądro w orzechu, jak ząbek w czosnku. Wszechświat jest tą śliwką, tym orzechem i tym czosnkiem, a Słońce nasieniem, dookoła którego wszystko się skupia.

Szyderczy śmieszek był odpowiedzią starosty.

– Sądzisz więc pan naprawdę – nacierał Cyrano – że to wielkie ognisko obraca się dookoła naszej Ziemi, aby oświetlać ją i ogrzewać?

– Bez wątpienia.

– Doskonale. Takim sposobem musisz też sobie wyobrażać, że komin z ogniem obraca się dokoła pieczeni, aby ją upiec.

I zadowolony z żartu szlachcic wykręcił się na pięcie, nie kłopotząc się już ani trochę o swego przeciwnika.

– Usuwam się od dysputy z panem – rzekł gniewny starosta, którego dowodzenia nie odznaczały się lekkością – ale wiedz, że twoja pomysłowość i twój dowcip doprowadzą cię niezawodnie do tego, iż będziesz spalony na stosie.

– Jeśli to bywa zawsze ich następstwem, to ty, mości starosto, możesz być pewny, że umrzesz spokojnie w swym łóżku.

Ten żart zamknął usta mędrcomi. A kiedy zbierał myśli, aby odciąć się równą złośliwością, już Cyrano znajdował się w przeciwnym końcu salonu, gdzie zasiadł obok Rolanda i Gilberty.

Hrabia de Lembrat nie wspomniał jeszcze w obecności narzeczonej ani słówkiem o wczorajszym zajściu w ogrodzie. Lecz gdy Cyrano wmieszał się do rozmowy, Roland ośmielił się dotknąć tego drażliwego przedmiotu.

Zachowanie się poety podczas owej sceny nie uszło jego uwagi, widział też doskonale, jak Sulpicjusz Castillan udał się śladem trójki cygańskiej.

– Widziałeś się ze swym młodym sekretarzem? – zapytał Cyrana.

– Skąd to pytanie?

– Mistrz Sulpicjusz wydawał się zachwycony pięknymi

oczyma Sybilli, od której usłyszeliśmy wczoraj tyle zajmujących rzeczy, i pogonił za nią z zapalem, który daleko zaprowadzić go może.

– To dowodzi tylko, że ten dzielny Castillan ma dobry smak. Piękna Cyganka warta grzechu. Uspokój się jednak; sekretarz mój już powrócił.

Hrabia, z gorączkową niecierpliwością szukający rozwiązania dręczącej go zagadki, chciał już wystąpić z nowym zapytaniem, gdy uprzedził go Sawiniusz.

– Gdym dowiedział się wczoraj o twym bliskim małżeństwie – wyrzekł z powagą – i gdym myślał, jak będziesz niezadługo szczęśliwy, uczułem nagle bolesne ściśnienie na myśl...

– Na jaką myśl?

– Na myśl, co się dzieje w tej chwili z twym biednym bratem?

Hrabia zadrżał. Na twarzy Gilberty odmalowała się ciekawość.

– Z bratem? – powtórzyła. – Pan hrabia nigdy nam o bracie swym nie wspominał!

– Bo nie chciał zapewne – zauważył z lekką ironią Cyrano – zasmucać pani bolesnym wyznaniem...

– I w samej rzeczy – wyjąkał Roland – po co budzić przykre wspomnienia, po co wywoływać z przeszłości smutną, zapomnianą historię, której rozwiązanie nigdy już nie nastąpi?

Zagadkowy uśmiech przemknął po ustach Cyrana.

– Kto wie! – szepnął.

Twarz hrabiego de Lembrat zdradziła wewnętrzny niepokój.

– Opowiedz tę historię, panie Cyrano; bardzo pana proszę – odezwała się ze wzruszeniem Gilberta.

– Historia ta jest bardzo prosta. Ludwik, brat Rolanda, liczył pięć lat wówczas, gdy ja kończyłem trzynaście i gdy stary hrabia de Lembrat, w którego domu wychowywałem się, polecił mi oswajać to dziecko z zabawami rycerskimi, będącymi moją ulubioną rozrywką. Uczyłem więc małego Ludwika dosiadać konia, fechtować się itp. Jednego dnia, gdym był nieobecny w Fougerolles, chłopczyk odszedł dość daleko od zamku w towarzystwie równego sobie wiekiem synka ogrodnika, nazwiskiem Szymon Vidal. Za nadejściem wieczora spostrzeżono nieobecność dzieci; nadaremnie ich wszakże po całej okolicy szukano. Czy wpadli do rzeki, szukając gniazd po nadbrzeżnych wierzbach, czy uprowadzeni zostali przez bandę Cyganów – nikt o tym się nie mógł dowiedzieć. Hrabia de Lembrat zmarł, polecając mi przed śmiercią Rolanda i przypominając Ludwika, którego poprzysiągłem odnaleźć, jeżeli znajduje się jeszcze przy życiu.

– Upłynęło już lat piętnaście od zniknięcia Ludwika – wtrącił hrabia. – Umarł z pewnością.

– Brat twój doszedł teraz dopiero do wieku, w którym człowiek zastanawia się nad sobą i swym losem. Któż wie, czy nie potrafi on odszukać cię kiedykolwiek, skoro ty o szukaniu go myśleć już nie chcesz?

– Obyż tak się stało! Pragnę tego z całego serca! – zawołała Gilberta.

Łatwo zgadnąć, do czego dążył Cyrano. Przed wyjawieniem Rolandowi prawdy chciał zbadać najpierw jego serce; przed poddaniem próbie jego braterskiej przyjaźni chciał zbadać grunt, na którym miała być stoczona walka uczucia z samolubstwem.

Zdawało się, że Rolanda opuszcza zwykła mu pewność siebie. Możliwość powrotu brata zbudziła w nim głuchą obawę; czuł instynktownie, że mu coś zagraża.

– Spełnienie tego pragnienia – podjął Cyrano w odpowiedzi na wybuch Gilberty – opłaciłby Roland połową swego majątku. Sądzę jednak, że nie żałowałby tego.

Hrabia w tejże chwili cios odparował.

– Brat mój – wyrzekł zimno – może powracać. Przyjęty zostanie z otwartymi rękami. W każdym jednak razie nie zapomnę, że jestem pierworodnym synem swego ojca!

„Zgadłem – pomyślał Cyrano – nie obędzie się bez walki”.

Potem rzekł ostrożnie:

– Pierworodztwo to rzecz niemała, jednakże...

– Jednak co?

– Jednakże nie uwolni cię ono od złożenia bratu rachunków.

– Zarząd majątku do mnie należy, jak sądę.

Charakter Rolanda zaczynał się okazywać w świetle właściwym.

– Prawo przyznające ci ten przywilej jest godne poszanowania, jednak w pewnych okolicznościach może ono utracić moc swoją.

– W jakich?

- Na przykład, gdyby to było wołą ojca rodziny.
- Zapewne, ale do tego potrzebne jest niezbędnie...
- Cóż takiego?

– Istnienie testamentu.

– Najniezawodniej²⁶. O tym właśnie, mój drogi, chciałem mówić. Ten testament...

– Cóż ten testament?

– Istnieje!

– Testament mego ojca?

– Testament twego ojca.

– Jesteś w błędzie, mój Cyrano.

– Bynajmniej. Nie wspominałem ci dotąd o tym, bo było to rzeczą zbyteczną, dopóki żadnych zobowiązań majątkowych nie zaciągnąłeś. Dziś żenisz się, jest więc rzeczą godziwą, aby twoja nowa rodzina dowiedziała się o twych długach przeszłości i o zobowiązaniach na przyszłość.

– Mój ojciec dbały był jak nikt na świecie o blask swego nazwiska; musiałby zapomnieć o zasadach całego życia, aby zrobić to, o czym mówisz.

– Kochał on obu synów jednakowo, pragnął zatem, aby na każdego przypadł równy dział majątku i zaszczytów.

– Rozprawiasz o tym z taką pewnością... Można by sądzić, że znasz ów testament.

– Znam go.

Roland przygryzł usta.

²⁶ *najniezawodniej* – dziś: najbardziej niezawodnie. [przypis edytorski]

– Gdzież mój ojciec złożył go? – spytał głosem drżącym.

– W moje ręce!

Hrabia lekko krzyknął.

– Panie hrabio – odezwała się Gilberta, rozdrażniona zachowaniem się narzeczonego – miałżebyś²⁷ co przeciw wyborowi, który uczynił twój ojciec?

– Boże zachowaj! Ojciec kochał Sawiniusza; wiedział, że to chłopiec pod każdym względem dzielny i na którym można polegać. Co do mnie, jedno tylko mam teraz życzenie, aby mój brat powrócił. Nawet przepoławiając dla niego majątek, będę jeszcze dość bogaty, aby zapewnić pani szczęście, którego masz prawo oczekiwać.

– Pięknieś powiedział, Rolandzie – rzekł Cyrano, podnosząc się do odejścia.

Hrabia zatrzymał przyjaciela i biorąc go na stronę szepnął:

– Jedno słowo, mój drogi...

– Słucham.

– Gdzie jest testament?

– Dlaczego?

– Pytam przez prostą ciekawość. A przy tym: czy nie można by teraz dopełnić otwarcia tego dokumentu?

– Strzeż się, Rolandzie. Podajesz w wątpliwość moją przysięgę.

– Nie myślę o tym bynajmniej.

²⁷ *miałżebyś* – konstrukcja z partykulą *-że*; znaczenie: czy miałbyś. [przypis edytorski]

– W testamencie prócz spraw pieniężnych znajduje się jeszcze co innego.

– Cóż się znajduje?

– Jedno straszne wyznanie!

– Straszne? Dla kogo straszne?

– Dla ciebie.

– Dla mnie?

– Tak. Nie pytaj więcej i dbając o własną spokojność²⁸, pozostaw w spokoju testament.

– Ależ nareszcie – napierał hrabia, silnie podrażniony, a zarazem i zatrwożony wyznaniem, poza którymi domyślał się pogróżki – gdybyś... gdybyś żyć przestał, co by się stało z testamentem?

– Nie kłopotuj się o to. Wypadek ten przewidziałem.

Roland przypatrywał mu się w milczeniu, wzrokiem niepewnym.

– Kochany hrabio – zakończył Cyrano, wyciągając doń rękę – wszystko, coś usłyszał ode mnie, nie bez celu było powiedziane. W życiu twym spełnić ma się wkrótce akt ważny, uroczysty; zawczasu zatem, jeszcze przed zaznajomieniem cię z odnośnymi faktami, chciałem wiedzieć: czego mogę się spodziewać, a czego obawiać się po twym sercu? Ciekawość moja już zaspokojona.

– Co masz mi jeszcze do powiedzenia?

– Dowiesz się o tym jutro.

– Jutro?

²⁸ *spokojność* – dziś: spokój. [przypis edytorski]

- W moim mieszkaniu. Czy mogę liczyć na twoje odwiedziny?
- Najzupełniej. O dziesiątej zapukam do twoich drzwi.

X

W pokoju Cyrana, przy otwartym oknie, którym wpływało świeże tchnienie poranku razem z jasnym, miłym światłem, siedział przy stole Sulpicjusz Castillan i pisał.

Siląc się na najpiękniejszą kaligrafię, kopiał scenę z *Agrypiny*, która sprowadziła tyle gromów na głowę autora.

Jespan Castillan nie był w humorze, gdyż śpiewał. Taka już była natura tego dzielnego chłopca. Gdy radość napełniała mu serce, nasycił się nią w spokoju, gdy przeciwnie, dolegało mu coś – z ust jego nie schodziły piosenki i żarciki.

Czy chciał w ten sposób ogłuszać się, czy też był to rodzaj okazywanego losowi lekceważenia – wątpliwość dotąd nierozwiązana! Cokolwiek bądź, nie wydawał się on nigdy tak smutnym, jak wówczas, gdy był szczęśliwy, i tak wesołym, jak wówczas, gdy mocno go coś trapiło.

Owego ranka czy to, że pióro jego źle pisało, czy też, że sen przykry dręczył go w nocy, Castillan miał minę wielce uradowaną i po raz dziesiąty powtarzał jeden z trioletów, które spłodził móżg mistrza:

Już nie ujrzymy wśród stolicy
Piór zawiesistych, dziarskich wąsów.
Które nosili zapaśnicy —
Już nie ujrzymy wśród stolicy!

Kres będzie szaleństw, bójek, płasów.
Odetchną wolniej zazdrośnicy;
Piór zawiesistych, dziarskich wąsów
Już nie ujrzymy wśród stolicy!

Skończywszy tę strofę, zabierał się do powtórzenia jej po raz jedenasty, gdy do pokoju weszła gospodyni – osoba starsza, okrągła, świeża, z ruchami najzupełniej męskimi. Na imię jej było Zuzanna, pochodziła zaś z prowincji Perigord i dobiegała czterdziestki. Cyrano, obfitując kiedyś w mamonę, pozwolił sobie na ten największy ze zbytków kawalerskiego życia i przyjął ją za gospodynię. Przywiązała się ona do swego pana i chociaż poeta zaraz w drugim miesiącu zapomniał wypłacić jej załug, nie myślała o porzuceniu go.

Zuzanna była poniekąd panią w domu Cyrana, gdzie swobodne i rezolutne jej zachowanie się nie dziwiło nikogo.

Stała przed Castillanem i ujawszy się pod boki, uczestowała go z miejsca takim komplementem:

– Patrzcie no na tego ladaco: nic nie robi, tylko śpiewa. Powiedz mi, kochanku, czy to za śpiewanie pan mój ci płaci?

– Śpiewam, moja Zuzanno, bo mi nudno.

– Delikacik! Nudno mu! A czemuż to nudno?

– Dzień tak piękny, chciałbym wyjść, a tymczasem pan de Bergerac nie przybywa, aby mnie zwolnić od roboty.

– A prawda; gdzież to się nasz pan podziewa?

– Już od dwóch dni nie pojedynkował się z nikim, więc pan de Nagis przybył dziś przed świtem prosić go na sekundanta.

– Otóż to! I znów wróci do domu z twarzą plajzerowaną!
Nieszczęście z tym człowiekiem i tyle!

– Cóż chcesz, Zuzanno, to jego życie! Jeżeli przynajmniej trzy lub cztery razy w tygodniu nie uczęstuje kogoś pchnięciem szpady, dostaje melancholii i mówi, że się coś w świecie popsło.

Wbrew przewidywaniom Zuzanny Cyrano wrócił zdrów i cały. Była dziewiąta; Roland de Lembrat lada chwila miał nadejść.

Na widok wchodzącego pana Zuzanna wymknęła się z pokoju. Cyrano usiadł obok Sulpicjusza.

– Skończyłeś? – zapytał pisarza, który na myśl, że za chwilę będzie wolny i pójdzie używać pięknego dnia, od razu sposepniał.

– Skończyłem.

– To dobrze. Możesz sobie teraz iść na przechadzkę i nie wracać aż do wieczora. Nie będziesz mi potrzebny. Ale prawda! Zaczekaj no jeszcze trochę; muszę ci podyktować list.

– Do kogo?

– Do tego zdechlaka Montfleury'ego.

– Aktora z Pałacu Burgundzkiego?

– Tak jest.

– Cóż on nowego zbroił?

– Siadło mu coś na nos i uparł się grać w moich sztukach. Co więcej, namawia kolegów swych, aby czynili toż samo.

Sulpicjusz zaczął pogwizdywać wesoło. Powracał mu zły humor.

Uspokoił się po chwili i zabrał się do pisania.

– Jestem gotów – rzekł.

Cyrano jął przebiegać wielkimi krokami pokój i nie przystając ani na chwilę, podyktował list następujący, który jest ciekawym przyczynkiem do jego charakterystyki, a zarazem próbką jego stylu.

„Zapewniam cię, obrzydły grubasie, że gdyby można było przesyłać w liście kije, odczytałbyś to moje pisanie – plecami.

Czy sądzisz jednak, że ponieważ niepodobna grzmocić cię przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, zamyślam powierzyć kłopot załatwienia się z tobą oprawcy? Bynajmniej!

Dowiedz się, klocu, że zabraniam ci pokazywać się przez miesiąc na scenie i że jeżeli ośmielisz się, wbrew memu zakazowi, wstąpić na deski teatralne, wykreślę cię raz na zawsze z listy istot żywych i spłaszczę cię tak rzetelnie, że nawet pchła liżąca ziemię nie potrafi odnaleźć śladu twego na kamieniach ulicznych”.

Gdy ta jędrna epistoła została ukończona, poeta, którego nazywano Kapitanem Czartem, nabazgrał pod nią prawdziwie czartowskiego kulasa, potem odetchnął głęboko, jak człowiek, który zrzucił brzemię z pleców lub z duszy.

Dzień dobrze się zapowiadał. Cyrano był zadowolony z siebie.

– Idź, synku – rozkazał Castillanowi – doręcz mu to pismo osobiście, a gdyby nie był z niego bardzo ucieszony, powiedz, że wieczorem przyjdę poszukać jego uszów. No, w drogę!

Sulpicjusz pośpieszył spełnić rozkaz. Na schodach rozminął

się z Rolandem de Lembrat, który przybywał, spełniając wczorajsze przyrzeczenie.

Sawiniusz zawczasu obliczył wszystko i przygotował; znał on też zbyt dobrze hrabiego, aby potrzebował bawić się z nim jeszcze w dyplomatyczne koziołki i z dala zmierzać do celu.

Postanowiwszy za jednym zamachem przeciąć węzeł tej splątanej sprawy, dał Rolandowi zaledwie czas do rozgoszczenia się.

– Czy wiesz, dlaczego głównie prosiłem cię o przybycie? – zapytał wesoło.

– Byłbym ci niezmiernie wdzięczny, gdybyś był łaskaw wyjawić mi to nareszcie. W twoich wczorajszych półsłówkach ukrywała się tajemnica, która musi być, za jaką bądź cenę, wyjaśniona.

– Doskonale! Nie mam bynajmniej zamiaru wystawiać cierpliwości twojej na długą próbę. Jesteś mężczyzną, spodziewam się zatem, że największa nawet radość o śmierć cię nie przyprawi.

Powiedziane to było tonem lekko ironicznym, który nie uszedł uwagi Rolanda.

– Do czego wszystko to zmierza? – przerwał niecierpliwie.

– Przygotowuję ci niespodziankę.

– Cóż to takiego?

– Wielka, olbrzymia niespodzianka! Czy przypominasz sobie, coś mi powiedział wczoraj przy panie Gilbertcie?

– Cóż ja ci powiedziałem?

– Te słowa: „Brat mój może powrócić; przyjmę go z

otwartymi rękoma”.

Roland zaczynał powoli rozumieć. Ciało jego zaczęło wilgotnieć od potu.

– Ależ to zupełnie naturalne – odparł jakimś nieswoim głosem. – Czyż o takich rzeczach można mówić inaczej?

– A więc, kochany Rolandzie! – zawołał Cyrano, podnosząc portierę zasłaniającą drzwi od sąsiedniej komnaty – otwórz ramiona; twój brat powrócił. Masz go przed sobą!

Ta scena teatralna, którą przygotował Cyrano, a której domyślał się może nawet cokolwiek Roland, wyczerpała mimo to siły tego ostatniego. Obezwładniony silnym spazmem, osunął się on w ramiona towarzysza.

Na chwilę opuściło go czucie, nie widział nic i nie słyszał. Ale gdy odzyskawszy przytomność, w tym bracie, którego mu przedstawiono i który, drżący z radości i nadziei, przyjaźnie wyciągnął doń rękę – gdy w tym bracie, spadającym jak z obłoków, poznał onegdajszego Cygana, zuchwałego włóczęgę, co ośmielił się być jego rywalem, nicponia, którego sromotnie wypędził za bramę – głuchy krzyk wyrwał się z jego piersi i... gwałtownie rzucił się w tył, jakby chciał uciec od nienawistnego sobie widziadła.

– On! On! – powtórzył nieprzytomnie, zaciskając instynktownie pięści.

– Tak, to on! – rzekł Cyrano. – Przypatrz mu się; nie jestże żywym wizerunkiem waszego ojca?

Podczas gdy Roland, starając się okiełznać straszną burzę,

wrzącą w jego piersiach, patrzył przed siebie wzrokiem obłąkanym, tamten zbliżył się z wolna i zginając przed hrabią kolano, rzekł:

– Bracie, przeznaczenie postawiło nas przed dwoma dniami naprzeciw siebie, a żaden głos wewnętrzny nie ostrzegł nas, że jedna krew płynie w naszych żyłach. Podwójnie obraziłem cię wówczas; proszę o przebaczenie. Jesteś najstarszym z rodu de Lembrat, odtąd będziesz mnie miał zawsze gotowego do poświęceń, pełnego przyjaźni i szacunku, jakie należą się głowie rodziny. Życie moje było nędzne i ciemne, honor pozostał nieskalany. Daj mi rękę, bracie, jestem godny twego uścisku.

Roland uczynił gwałtowny wysiłek, aby okazać się spokojnym i wyciągając, jakby z żalem, dłoń do Manuela, rzekł:

– Powstań pan. Nie wolno mi jeszcze objawiać otwarcie radości, trzeba przede wszystkim, aby ta ciemna sprawa całkowicie się rozjaśniła. Zanim przyznam panu tytuł brata, o który się dopominasz, muszę mieć najpierw w rękę dowód, dowód niewątpliwy, dowód, którego nic nie byłoby w stanie zachwiać.

– Do licha, Rolandzie! – wtrącił Cyrano uszczypliwie – pomiatasz, jak widzę, moją uczciwością. Cóż to znaczy? Czyżbyś sądził, że ci przedstawiam jakiego brata urojonego? W każdym razie, bądź spokojny. Dostarczymy ci ten dowód czy też świadectwo, których się domagasz.

I obracając się do Manuela, dodał:

– Idź i przyprowadź tu Ben Joela. Zaczekamy na ciebie.

Podczas gdy młodzieniec podążał do Domu Cyklopa, Cyrano wtajemniczył hrabiego we wszystkie szczegóły odkrycia.

Roland dowiedział się o zapiskach czynionych w księdze starego Joela, których prawdziwość poświadczyć mógł w potrzebie jego syn, a może i Zilla, i przekonał się wobec tych dowodów, że pozostaje mu tylko – schylić głowę przed zgotowanym mu przez fatalność losem.

Manuel powrócił niebawem, wiodąc ze sobą towarzysza włóczęgi. Na widok Rolanda twarz Ben Joela rozjaśniła się nagle. Doświadczony łotr zaczynał dokładniej rozpatrywać się w położeniu.

Jednocześnie i na twarzy hrabiego odmalowało się uczucie ulgi i prawie zadowolenia. W tym zbóju o twarzy świętoszkowatej, o kocich, ostrożnych ruchach, od pierwszego spojrzenia odgadł człowieka zdolnego do wszelkich ustępstw i pomyślał z uciechą: „Tu uderzyć trzeba, aby zwyciężyć”. Ben Joel, poddany badaniu, powtórzył z uległością wszystko, co mówił dnia poprzedniego. I tak samo jak wówczas odmówił wydania drogocennej księgi. Hrabia nie nacierał nań o to zbyt mocno i z pozorną szczerością, wyciągając rękę do Manuela, rzekł:

– Bracie, wszystkie wątpliwości moje rozproszone. Ręczy mi za ciebie Bergerac, mnie zaś głos serca mówi wyraźnie, że jesteś tym, którego od lat piętnastu wyglądam. Chodź do mego domu; przedstawię cię starym sługom naszego ojca, z których niejeden przypomni cię sobie dziećciem!

„Pięknie powiedziane – pomyślał Cyrano – ale czy szczerze?”

Manuel ujął rękę, którą doń brat wyciągnął, i z uszanowaniem ją ucałował.

– Przypatrz mu się – rzekł Sawiniusz do hrabiego – w obejściu się ma dużo szlachetnego wdzięku. Za tydzień zrobimy z niego wykwintnisia.

„Za tydzień – powtórzył w myśli starszy de Lembrat – przywdzieje na powrót swe łachmany”.

A zwracając się do Ben Joela, rzekł głośno:

– Przyjmij to pierwsze stwierdzenie dobrych między nami stosunków.

I wcisnął do ręki Cygana wszystkie złoto, które miał przy sobie.

Potem, korzystając z chwili, gdy uwaga towarzyszków odwrócona była od niego, bo właśnie Manuel, zwyciężony wzruszeniem, płakał wsparty o ramię Cyrana – szepnął na ucho Cyganowi:

– Gdzie można cię znaleźć w potrzebie?

– W Domu Cyklopa, przy bramie Nesle, jasny panie – odpowiedział również szeptem Ben Joel.

XI

Roland de Lembrat mieszkał przy ulicy Świętego Pawła. Po przybyciu do Paryża, gdzie zamyślał przepędzać większą część czasu, hrabia nabył pałac z ogrodem, wyglądający wspaniale i pańsko, co przyjemnie łechtało próżność nowego nabywcy.

Pierwsze piętro przestronnego gmachu wypełniał prawie w całości olbrzymi salon wykładany dębiną i ozdobiony tymi ciężkimi złoceniami, jakie widzi się dziś jeszcze w starych komnatach Luwru.

Obok salonu znajdowały się inne pokoje, z których jeden był sypialnią Rolanda.

W dwa dni po opowiedzianych wyżej scenach hrabia, odprawivszy służbę przechadzał się po sypialni silnie czymś wzruszony.

Gdy już obiegł cały pokój we wszystkich kierunkach, zatrzymując się chwilami i pomrukując głucho jak tygrys w klatce, siadł wreszcie przy stole i zabrał się do wertowania jakichś papierów.

Po chwili umaczał pióro i wypisawszy długą kolumnę cyfr, zaczął je dodawać – co było niezwykle u młodzieńca lubiącego dogadzać swym wszystkim fantazjom i rozsypywać złoto garściami, bez liczenia.

Skąd wzięła się u niego ta rachunkowość?

Po prostu: obliczał, ile kosztować go ma zmartwychwstanie

brata. Po skończonym rachunku przycisnął pióro do papieru tak silnie, że się na całą długość rozdarło, i oparł się o stół, ściskając głowę rękami. Widocznie zagadka, dręcząca go od pewnego czasu, nie była jeszcze ostatecznie rozwiązana.

– Ba! – rzekł nagle do siebie, wstając i jakby w odpowiedzi na postawione w myśli pytanie – na co to wszystko? Mam w zapasie coś lepszego. Gdy węzeł nie da się rozwiązać, przecina się go.

Hrabia wziął ze stołu świecznik, osłonił płomień ręką i otworzywszy drzwi wyszedł na korytarz, biegnący wzdłuż komnat pierwszego piętra. Na końcu korytarza zgasił światło, uniósł ciężką draperię i znalazł się w niewielkim gabinecie, którego posadzkę pokrywał dywan tłumiący odgłos kroków.

Z wyciągniętą przed siebie ręką hrabia zbliżył się cicho do ściany i jął szukać zatyczki, która zamykała niewielki otwór w murze. Znalazłszy palcami zatyczkę, wyciągnął ją ostrożnie i przyłożył oko do otworu.

Ujrzał wówczas, co następuje:

W pośrodku obocznej komnaty stał młodzieniec – był nim Manuel, a raczej Ludwik de Lembrat, od dwudziestu czterech godzin przebywający w pałacu przy ul. Świętego Pawła. Wytworny strój z szarego atłasu podniósł znacznie jego urodę oraz siłę i zręczność jego postawy.

W powierzchowności młodzieńca nie było już nic zgoła, co by przypominało dawnego grajka i włóczęgę. Zajmując nowe stanowisko w świecie, Manuel nie potrzebował niczego prawie uczyć się i nic na nowo nabywać.

Wykształcenie młodzieńca było niepowszednie i przewyższało przeciętny poziom wiedzy, jaką mogła być się pochwalić większa część ówczesnej szlachty. I pod innymi względami nie ustępował on tej szlachcie, bo poczucie powagi i wytworności już we krwi jego tkwiło.

W tym miejscu powrócimy na krótko do przeszłości młodzieńca, która wiąże się najściślej z czekającymi go wydarzeniami; powrócimy w tym celu, aby opowiedzieć, skąd i w jakich okolicznościach narodziła się jego miłość dla Gilberty de Faventines.

Prosta to historia – stara jak ludzkość, a jednak zawsze nowa! Manuel ujrzał raz Gilbertę w oknie i jak prawdziwy marzyciel, jak prawdziwy poeta, jak prawdziwy wreszcie szaleniec – piękne i święte szaleństwo! – wypełnił oczy i duszę blaskiem tego uroczego zjawiska.

Kochać to czuć, że się żyje. Manuel kochał. Mało go obchodziło, czy ukochana znajduje się blisko, czy daleko; obraz jej miał zawsze przed oczyma. Co wieczór wdrapywał się na mur i dostawał aż do jej okna, aby złożyć na balkonie bukiet. Potem oddalał się.

To było wszystko.

Młodzieniec czuł się szczęśliwy. Uszczęśliwiała go przygoda sama przez się, tajemniczość, która ją otaczała, i to wewnętrzne wzruszenie, którego doświadczał po raz pierwszy w życiu i dzięki któremu miał umysł napełniony nieustannie czarownymi widzeniami.

Nie znał nawet imienia swego bóstwa...

W porze tych wstępnych przegrywek namiętności rzeczą, którą się kocha, nie jest właściwie kochanka, lecz miłość – miłość pełna słodkich niepokojów, nieusprawiedliwionych obaw i niezmiernych rozkoszy, których źródłem są niedostrzegalne prawie drobnostki.

Dziś, gdy już Manuel mógł poważniej liczyć się z sobą, gdy już był czymś, jego lotne dotąd uczucia skupiały się, przybierały kształty wyraźniejsze, oblekały się w ciało. Miłość przestawała już dlań być siłą luźną, do niczego nie przystosowaną. W kościele jego marzeń zamieszkało bóstwo, z którym nic go już nie miało rozłączyć.

Wolno już mu było mieć nadzieję; wolno było dążyć do czegoś.

Tak przynajmniej przedstawiało mu się wszystko w chwili, gdy Roland de Lembrat przyszedł podglądać go w jego nowym mieszkaniu. Spojrzenie hrabiego, wąskością otworu krępowane, padło wprost na młodzieńca.

Młodzieniec mówił z ożywieniem – nie był przeto sam. Roland rozejrzał się uważniej po komnacie, szukając tej drugiej osoby i dostrzegł wreszcie w stronie przeciwnej – siedzącego przy kominku Cyrana.

Teraz już mniej przyglądał się, a więcej słuchał.

Niebawem też dobiegł do jego ucha dźwięczny i silnie akcentowany głos poety.

– Tak więc, drogi Ludwiku – mówił Cyrano – jesteś

zadowolony z brata?

– Nadzwyczajnie! Okazuje mi wielką życzliwość.

– To naturalne. Ale chciałbym się dowiedzieć o jednym...

– O czym?

– Czy Roland w rozmowie z tobą dotykał już rzeczy głównej?

– Co przez to rozumiesz?

– Sprawy majątkowe.

– Nic mi o tym nie mówił i ja też o nic go nie pytałem.

– Bezinteresowność ta przynosi ci zaszczyt. Jednak trzeba będzie o sprawach tych pomyśleć.

– Po co! Brat przyjął mnie jak najgościnniej; wszystkie potrzeby moje opatrzył, czegoż więcej mam od niego wymagać.

– O poeci! – uśmiechnął się Cyrano. – Jak mało wymaga ten naród od życia! Na szczęście dla ciebie ja tu jestem.

– Cóż zamierzasz czynić?

– Ależ do licha, zamierzam zapewnić ci byt niezależny na dziś i na jutro; zamierzam tak urządzić twoje interesa²⁹, abyś bratu nie potrzebował nic zawdzięczać, lecz był mu we wszystkim równy. I w tym celu właśnie...

– Co w tym celu?

– Chcę wprowadzić w wykonanie ostatnią wolę twego ojca.

– Proszę cię, zaniechaj wszystkiego, co by mogło urazić

Rolanda!

– Bądź spokojny. Mówię o przyszłości. Przez miesiąc lub dwa miesiące niech ci wystarcza to, co tytułem gościnności

²⁹ *interesa* – dziś: interesy. [przypis edytorski]

otrzymujesz od brata. Potem zobaczymy.

– Tak, tak, czekajmy. Nic nas nie nagli. Zawsze będzie dość czasu do podjęcia tych nudnych kwestii. Mam teraz zresztą na myśli sprawę nierównie ważniejszą.

– Jaką?

Manuel spojrzał na Cyrana ze zdziwieniem i jakby z wymówką, potem rzekł, wzdychając:

– Alboż zapomniałeś, Sawiniuszu, o mojej miłości?

– Do diabła! – skrzywił się poeta – otóż to orzech najtwardszy do zgryzienia! Mój chłopcze, już cię w tym brat twój uprzedził.

Hrabia podwoił czujność, gdyż zgodnie z jego przewidywaniem, obaj rozmawiający znacznie w tym miejscu głos przyciszyli.

– Brat! – powtórzył Manuel. – Kochaż on w istocie pannę de Faventines, czy też jest to tylko małżeństwo z rozsądku?

– Sądzę, że on ją kocha. Pozostaje do zbadania: czy ona kocha jego? Pod tym ostatnim względem ja mam duże wątpliwości.

– Jeżeli więc Gilberta nie kocha Rolanda, to co?

– To w takim razie powoduje nią tylko poszanowanie danego słowa. Nie ty jednak chyba mógłbyś żądać od brata, aby ją ze słowa tego zwolnił.

– To prawda – poświadczył ze smutkiem Manuel. – Skazany jestem w tym razie na milczenie. Jednakże... sądzą...

– Kończ.

– Gdyby panna de Faventines sama...

– Młody zarozumiałcze! Odgadłeś więc, że jesteś kochany?

– Nie. Ale czy temu, kto widzi się zagrożonym w uczuciach najdroższych, nie wolno chwytać za najsłabsze nici nadziei?

– Bez wątpienia wolno. Ale słówko jeszcze. W niedługim czasie ujrzysz Gilbertę, gdyż ani brat twój, ani nawet ja, nie możemy zamknąć pałacu Faventines przed wicehrabią de Lembrat, jak go zamknęliśmy przed grajkiem Manuelem.

– A zatem?

– Gdy ujrzysz ją, co zrobisz?

Manuel nie mógł opanować wzruszenia, które mu głos na chwilę zatamowało.

– Widzieć ją! – wybuchnął wreszcie z rodzajem dziecinnej trwogi – przemawiać do niej bez sprawienia jej odrazy! Ach, o takim szczęściu nie myślałem dotąd.

– Trzeba jednak pomyśleć.

– A więc posłuchaj – rzekł po krótkim milczeniu. – Sądź o mnie, jak chcesz: powiedz, żem winowajca, niewdzięcznik, niegodziwiec, wyznać jednak muszę, że gdy ujrzę Gilbertę, gdy do niej przemówię, pierwsze moje spojrzenie będzie błyskawicą namiętności, pierwsze moje słowo będzie wyznaniem miłosnym... Upewnia mnie o tym drzenie mojej ręki, bicie mego serca. Nie, nie czuję się dość silny, aby nie zdradzić w owej chwili tajemnicy mej duszy. Jestem jeszcze istotą na wpół dziką; strój, który przywdziałem, nie mógł zmienić całkowicie mojej natury. A zatem, drogi Sawiniuszu, jeżeli nie zdołam zdusić w sobie głosu, który woła nieustannie: „Kochaj i rzuć serce swe pod stopy ukochanej”, jeżeli będę musiał być nikkczemnikiem i

zdradzić zaufanie swego brata, pójdę prosto do niego i powiem: „Wypędź mnie, Rolandzie, zapomnij, że istnieję, wróć mi moje łańchmany i moją nędzę, ale nie żądaj ode mnie, abym się wyparł swej miłości”...

– A potem co? – zapytał zimno Cyrano, nie zdając się nazbyt przejmować zapalem młodzieńca.

– Potem? – powtórzył Manuel. – Alboż mi w każdym razie nie pozostanie moje własne nazwisko?

– Skromne to uposażenie.

– Wystarczy ono, aby król przyjął mnie na żołnierza. Przy odwadze i dobrej woli dojść można do wszystkiego.

– Szpada i mundur to diablo mało, mój drogi, a herby na zamku Faventines gwałtownie domagają się pozłocenia.

Manuel nie słuchał już przyjaciela. Zapadł w marzenie; wyobraźnia jego budowała nowe czarodziejskie pałace w powietrzu.

– Już późno – rzekł Cyrano, wstając do odejścia. – Raz jeszcze rozważ dobrze tę sprawę, choć byłoby najroztropniej o wszystkim zapomnieć.

– Nigdy! – zakończył silnym głosem Manuel.

– W każdym razie – rzucił na odchodnym Cyrano, szpadę poprawiając – ja zawsze trzymam z tobą.

„Wiem już dość – pomyślał hrabia Roland, odchodząc od swej dostrzegalni i wracając do siebie – skryta i głucha walka nie wystarczy do powalenia tego człowieka; tu trzeba uderzenia gromu..”

Uczyniwszy tę uwagę, zadzwonił.

W sypialni zjawił się służący.

Zachowanie się jego wskazywało od razu, że znajduje się on tu na prawach wyjątkowych. Po jego twarzy, koloru białego, przebiegał uśmiech poufany, prawie bezczelny. Odgadywało się w nim bez trudności jednego z tych skrytych zbirów, a otwartych łotrów, którzy bywają niezbędni w pewnych okolicznościach i dla których wszelkie skrupuły przeszły już od dawna w krainę baśni.

Zbliżył się spokojnie do hrabiego i stanął przed nim w postawie wyczekującej.

– Rinaldo – przemówił Roland – pamiętasz, o czym mówiłem ci wczoraj wieczorem?

– Mam dobrą pamięć, jasnie panie. Jasnie pan mówił mi o powrocie swego brata i o pewnych kłopotach, jakie ma z tego powodu.

– Mówiłem także, że będziesz mi potrzebny.

– Przyszedłem właśnie – oświadczył po prostu Rinaldo z odcieniem dumy w głosie.

– W ciągu tygodnia – podjął Roland – nie będzie w tym domu innego pana prócz mnie.

– Tak prędko? – zauważył powiernik. – Zdaje mi się, jasnie panie, żeśmy to przygotowali na później.

– Zmieniłem zamiar – oświadczył krótko Roland.

– W takim razie wypada nam już tylko zastanowić się nad środkiem uczciwego pozbycia się młodzieńca.

– O to mi właśnie chodzi.

– Mamy tu najpierw: całkowite i ostateczne usunięcie zawady...

– Nie, nie chcę rozlewu krwi... na teraz przynajmniej.

– Zaprzeczenie okazanym dowodom?

– Być może.

– Zeznania kilku pewnych ludzi, których obowiązuję się dostarczyć?

– Pomyślmy o tym. Tymczasem przygotuj się; pójdziesz ze mną. Trzeba przede wszystkim pozyskać człowieka, w którego rękach znajduje się tajemnica urodzenia Manuela. Co się tyczy Cyrana, który sprowadził mi na kark tę śliczną awanturę, zajmiemy się nim później.

– Dokąd idziemy?

– Do Domu Cyklopa.

Choć była to już noc późna, hrabia i Rinaldo, obaj zresztą dobrze uzbrojeni, dotarli bez przeszkody do legowiska Ben Joela.

Na widok Rolanda de Lembrat twarz opryszka rozpromieniła się. Po ustach jego przebiegł uśmiech wymowny.

– Oczekiwałem jasnego pana – rzekł, nisko się kłaniając.

– Oczekiwałeś mnie? I z czegoż to wniosłeś, że przyjdę?

– Mam zwyczaj, jasny panie, na wszystko zważać, a potem wszystko rozważać – odpowiedział z bezwstydną czelnością.

Wszyscy trzej zamknęli się w komnacie Zilli i mieli długą, tajemniczą naradę.

W chwili, gdy hrabia opuszczał Dom Cyklopa, słaby blask występował na niebo. Świtało.

Roland de Lembrat wydawał się bardzo zadowolony.

W otwartym oknie siedziała Zilla, chłodząc rozpalone czoło świeżym tchnieniem poranka, a uśmiech nieokreślony błędził po jej półotwartych ustach...

XII

Roland nie spieszył się bynajmniej z przedstawieniem brata margrabiemu de Faventimes, ale ten ostatni położył koniec jego namysłom, przybył bowiem pierwszy do pałacu przy ulicy Świętego Pawła, aby powinszować obu braciom tak szczęśliwego zdarzenia.

Wieczorem tegoż samego dnia Roland i Ludwik udali się do margrabiego, na szczególne jego zaproszenie, i po raz pierwszy od pamiętnej sceny improwizacji Manuel znalazł się oko w oko z Gilbertą.

– Pani! – rzekł Roland de Lembrat do narzeczonej z lekkim uśmiechem, którego zdradziecka słodycz nie została przez nikogo zauważona – oto ów śmiały poeta, którego natchnieniem stałaś się pani dnia pewnego. Wolno mu teraz prawić pani tyle wierszy, ile mu się podoba. Nie jest to już człowiek obcy, jest to brat mój... i pani także – dodał z naciskiem.

Spojrzenia Gilberty i Manuela spotkały się i twarz panny de Faventimes oblała się silnym rumieńcem, młodzieniec zaś, nadzwyczaj pomieszany, wyjąkał kilka słów bez związku.

Dopełniwszy nieuniknionej formalności, Roland pozostawił brata sam na sam z narzeczoną i zajął miejsce obok margrabiny. Znajdował dziką rozkosz w igraniu z ogniem, w pozostawieniu pozornej swobody miłosnym zabiegom Manuela.

Możliwe następstwa tego zbliżenia mało go obchodziły. Alboż

nie miał poczucia swej wielkiej siły? Alboż nie wiedział, że gdy zechce, jedno słowo jego wystarczy do rzucenia brata w ściek, z którego wyciągnął go Cyrano?

Ochłonawszy nieco, Manuel usiadł odważnie obok Gilberty i postanowił nie tracić ani minuty, aby wydobyć się z położenia, którego delikatność umiał ocenić właściwie jedynie Bergerac.

Wiemy już, że był to charakter łatwo zapalny i skłonny do wybuchów; osobliwa mieszanina odwagi i obawy; umysł niedostatecznie jeszcze zrównoważony i może niezupełnie dorastający zadania, które los przed nim postawił.

Gdy Manuel odnalazł brata, przyrzekł mu posłuszeństwo, przyjaźń i szacunek, a oto nagle widzimy go zapominającego najzupełniej, pod wpływem miłości, o wszystkich przyrzeczeniach.

Osądził, że dość czyni, zrzekając się majątkowych korzyści, jakie mu zapewniało urodzenie, i że za tę cenę wolno mu już słuchać głosu serca.

Był bardzo młody, nie znał się na ustępstwach i ugodach praktykowanych w świecie; przede wszystkim zaś był po uszy zakochany.

Któż mógłby się dziwić, że miłość opanowała młodzieńca niepodzielnie? Któż zwłaszcza mógłby go za to potępiać?

– Pani – rzekł do Gilberty – nadzwyczajne zdarzenie, które w życiu mym zaszło, jakkolwiek wstrząsnęło całą moją istotę, nie pozwoliło mi jednak zapomnieć o przeszłości. W przeszłości tej znajduje się fakt, który zmusza mnie prosić panią o przebaczenie.

Panna spodziewała się tych słów; prawie czekała na nie. Jednak gdy nadeszły, wysłuchiwała ich z drżeniem, prawie z trwogą.

W tejże chwili uświadomiła sobie wszakże, że ma przed sobą już nie biednego, ulicznego śpiewaka, lecz szlachcica, brata człowieka, który ma zostać jej mężem, i że, tak czy owak, nie zdoła uniknąć tego niebezpiecznego starcia; przybrała więc minę poważną, prawie lodowatą i zwróciła na Manuela zimne, pytające spojrzenie.

– Tak jest – podjął młodzieniec – muszę prosić panią o przebaczenie. Gdym nie był niczym, śmiałość moja, choć w istocie nadzwyczajna, nie mogła pani dotknąć ani nawet być przez panią zauważona; dziś...

Zaciął się. Gilberta powtórzyła:

– Dziś?

– Dziś – kończył – czuję, że szlachcic winien wytłumaczyć się z zuchwalstwa, którego dopuścił się względem pani włóczęga.

– Panie! – odpowiedziała, spuszczać oczy, Gilberta – zrywając całkowicie z przeszłością, powinieneś pan zapomnieć o wszystkim, co ma z nią łączność.

– Zapomnieć! – powtórzył młodzieniec. – Żądasz pani ode mnie jedynej rzeczy, której przyrzec ci nie mogę. Każ mi pani upokorzyć się i unieżyć przed sobą, przypomnij, że ci winien głęboki szacunek, ale nie żądaj ode mnie ofiary z mych wspomnień.

Gilberta nic nie odrzekła.

– Pozwól pani – podjął Manuel, podniecając się dźwiękiem słów własnych, a bardziej jeszcze olśniewającą pięknnością Gilberty – pozwól, abym się wypowiedział przed tobą. Gdy poznasz pani moje całe życie, zdobędziesz się może na słówko choćby wyrozumiałości lub współczucia.

Jął mówić, ośmielony jej milczeniem; jął mówić o wszystkim, co wycierpiał, o wszystkim, na co się odważył. Opowiedział, jak nocami przemykał się w cieniu murów pałacowych; wyjaśnił tajemnicę bukietów, które każdego poranku rozkwitały na oknie Gilberty; wypowiedział się ze wszystkich marzeń, ze wszystkich próżnych zamysłów, ze wszystkich szaleństw poety i zakochanego.

Gdy Gilberta słuchała tej spowiedzi, tajało jej w piersiach serce i zatrzymywał się oddech. Zapomniała o ojcu, zapomniała o Rolandzie, zapomniała o świecie całym.

Wyrwało ich z tego odurzenia, zarazem bolesnego i rozkosznego, spojrzenie Rolanda. Hrabia od kilku chwil stał przed nimi, obrzucając oboje wzrokiem ognistym.

Manuel opuścił salon margrabiego na pół przytomny i nic nie było w stanie otrzeźwić go z tego półsnu, w jaki wprawiała go rozmowa z ukochaną.

Następnych dni³⁰ wicehrabia Ludwik de Lembrat powracał nieustannie do pałacu Faventines...

Reszta łatwa do odgadnięcia: Manuel i Gilberta wzajem się pokochali. Wyznanie miłosne wybiegło z ich ust prawie

³⁰ *następnych dni* – dziś: w następane dni; w ciągu następnych dni. [przypis edytorski]

mimowolnie; przyszłość ukazywała im się teraz pełna trwogi i grózb.

W tydzień mniej więcej po bytności w Domu Cyklopa – a w ciągu tego czasu nic się na pozór w sprawie tej nie zmieniło – wicehrabia Roland de Lembrat zaprosił swego przyszłego teścia oraz panią de Faventines i Gilbertę na zabawę, którą miał za dwa dni wyprawić.

– Sądziłem – dodał – że robię państwu przyjemność, zapraszając też czcigodnego Jana de Lamothe.

– Starostę – zawołał ojciec Gilberty. – Ależ zapomniałeś, kochany hrabio, że nie smakuje on bynajmniej w zebraniach takich jak my profanów.

– Bądź spokojny, panie margrablo, przyjdzie on i upewniam pana, że będzie nam często dotrzymywał miejsca w pałacu Lembrat – oświadczył hrabia z uśmiechem, który, jakby mimowolnie, skierował do Manuela.

Zabawa, na którą zapraszał Roland, nie była bynajmniej zaimprovizowana naprędce. Rinaldo na długo przedtem czynił do niej przygotowania i dopiero gdy były już ukończone, pan jego zajął się rozsyłaniem zaproszeń.

Rankiem tego ważnego dnia Ben Joel otrzymał pismo, zawierające tylko te dwa słowa: „Dziś wieczorem”.

Podczas gdy w mroku rozstawiono sidła, w które miał być pochwycony Manuel, ten ostatni ubierał się starannie na zabawę, nucąc półgłosem piosenkę miłosną, w której imię Gilberty powtarzało się nieustannie.

Roland de Lembrat miał widocznie dużo przyjaciół, gdyż salony jego zapełnił tłum równie liczny, jak świetny i ożywiony. Sprosił na ten wieczór całą śmietankę paryskiego towarzystwa. Tłoczono się i duszono po trosze – co dla powodzenia zabawy stanowi przyprawę konieczną.

Pierwszą osobą, którą dostrzegł margrabia de Faventines, wchodząc do salonu, był imćpan Jan de Lamothe. Starosta miał minę poważniejszą jeszcze i bardziej nadętą niż zwykle.

– Pan tu? – zapytał wesoło margrabia. – Pan, mędrzec, uczony, w tym wesołym gronie trzpiotów i lekkoduchów?

– Wszędzie jest miejsce dla sprawiedliwości, panie margrabio – odrzekł uroczyście starzec.

– Wiem o tym; sądzę jednak, że nie sędziogo tu spotykam, lecz przyjaciela?

– Jednego i drugiego, margrabio!

– Jesteś pan bardzo surowy dzisiajszego wieczora; miałżebyś zachować jeszcze w sercu urazę do Bergeraka i wiedząc, że go tu znajdziesz, przygotowywać się do udowodnienia mu magii, herezji i bluźnierstwa przeciw religii?

– Nie, ale bądź waćpan pewny, że i jego kolej nadejdzie.

– A czyjaż nadeszła już, jeśli łaska? Przybyliśmy tu wszyscy, aby zabawić się wesoło, aby uczcić wspólną biesiadą powrót Ludwika de Lembrat, aby przyjąć udział w szczęściu jego brata. Czyżbyśmy, nie wiedząc o tym, deptali po wężach lub czyżby dom hrabiego był kryjówką spiskowców?

– Nie – zaprzeczył dość oschle starosta.

– W takim razie nic już nie rozumiem.

Jan de Lamothe pochylił się wówczas do ucha margrabiego i szepnął kilka słów.

– Co pan mówisz?! – zawołał de Faventines. – Czyż to możliwe?

– Jest z wszelką pewnością tak, jakem waćpanu powiedział. Hrabia de Lembrat uprzedził mnie zawczasu. Spełnię powinność swą do końca.

– Dziwne! Niesłychane! – powtórzył kilkakrotnie margrabia i wsparty na ramieniu starosty wmieszał się w tłum gości.

W chwili, gdy obaj mijali drzwi otwarte do pierwszego salonu, ujrzeli Gilbertę, której towarzyszył Manuel.

Margrabia poruszył się gwałtownie, jakby chciał podbiec do młodzieńca i odtrącić go od swej córki. Przytrzymał go de Lamothe, mówiąc:

– Miarkuj się, margrabio. Jeszcze nie pora.

Manuel i Gilberta przeszli spokojnie i usiedli przy otwartym oknie wychodzącym na ogród. Noc była cicha i jasna; zapach kwiatów unosił się w powietrzu; w gąszczach słychać było głosy wesołe i wybuchy śmiechu.

– Więc przyznajesz – mówił półgłosem młodzieniec, dla którego początek jego miłości był tematem niewyczerpanym – że miałem szczęście być przez ciebie poznany?

– Od pierwszego spojrzenia. Było to bez wątpienia przecucie.

– Ach, czynisz mnie dumnym, Gilberto. Jak to? Wbrew przesądom społecznym, wbrew opinii świata całego, ten biedny

Cygan, ten poeta uliczny potrafił wzbudzić sympatię w sercu patrycjuszki?

– Sama nie wiem, jak się to stało, Ludwiku. O, ilem ja wycierpiała, powtarzając sobie po tysiąc razy, że dzieli nas przepaść nie do przebycia, że żadna siła ludzka zbliżyć nas do siebie nie potrafi! Postanowiłam poświęcić się, zrobić z uczucia swego ofiarę, zachowując jednak do śmierci, jako najwyższą pociechę pierwszego wzruszenia.

– Droga Gilberto! Kiedyż będę mógł pochłubić się jawnie swym szczęściem?

– Gdy tylko zdobędziesz się na odwagę wyjawienia prawdy Rolandowi, jak ja postanowiłam wyznać ją swemu ojcu.

– Rolandowi! Zawsze o nim zapominam! Czemuż przywracając mi rodzinę, Bóg zmusił mnie wybierać pomiędzy niewdzięcznością i... nieszczęściem!

– Nie Boga trzeba tu oskarżać.

– A kogoż?

– Mnie. Nie miałam odwagi sprzeciwić się swemu ojcu, a jednak powinnam była to zrobić, gdyż nie kochałam hrabiego. Teraz spełnię swój obowiązek.

– A brat?

– Brat jest człowiekiem zbyt prawym, aby miał żywić niechęć do ciebie za uczucia, które moje serce przepęlniają.

– Żyjmy więc terazniejszością, Gilberto.

– Żyjmy terazniejszością i wierzy w przyszłość...

W salonie pojawił się Cyrano. Spozstrzegł z daleka

zakochanych i zaraz do nich pośpieszył.

W kilka chwil później ukazał się sam Roland. Powitawszy już wcześniej większą część gości, wymknął się był do swego pokoju, gdzie odbył błyskawiczną naradę z Rinaldem.

– Wszystko gotowe – oświadczył mu ten ostatni.

Hrabia, zjawiwszy się z powrotem w salonie, pośpieszył przede wszystkim do Sawiniusza.

– A, nareszcie! – rzekł, witając poetę. – Spóźniasz się, mój drogi. A właśnie czekamy na ciebie z przedstawieniem.

– Cóż to za przedstawienie?

– Trochę muzyki, przy tym mały balecik.

I zaraz, zwracając się do Gilberty, zapytał:

– Pani jest królową zabawy, ja skromnym wykonawcą jej zleceń. Czy królowa pozwoli, abym dał znak zaczęcia?

– Ależ tak, niezawodnie! – odrzekła Gilberta z pośpiechem.

Hrabia klasnął w ręce. Zawieszona w jednym końcu salonu kurtyna podniosła się i muzykanci, zajmujący niewielką estradę, wykonali lekką uwerturę baletową. Na scenie ukazali się tancerze włoscy, będący podówczas w modzie w Paryżu.

Balet trwał krótko. Był on tylko prologiem komedii, którą miano za chwilę odegrać.

– Przepyszne! – pochwalił Cyrano. – Masz dobry smak, kochany Rolandzie.

– Nieprawdaż? – odparł ironicznie hrabia. – O, mam ja jeszcze dla ciebie wiele innych niespodzianek.

W tej chwili w otwartych drzwiach ukazała się dwuznaczna

postać Rinalda. Łotr niósł tacę z chłodnikami; postępowali za nim służący, pełniąc tę samą czynność. Odpowiednio do swej roli przybrał on minę ucziwą, pokorną i prawie naiwną.

– Czyżbym się mylił? – rzekł Cyrano, przyglądając się służącemu. – Zdaje mi się, przyjacielu Rolandzie, że to ten gałgan Rinaldo, który przebywał w Fougerolles za dobrych czasów naszego dzieciństwa?

– Ten sam – przytaknął Roland.

Jednocześnie rzucił znaczące spojrzenie staroście, jakby zwracając uwagę jego na to, co ma nastąpić. De Lamothe skłonił poważnie głowę na znak, że rozumie.

Przez szczególny zbieg okoliczności, który był może wynikiem umyślnego planu Rolanda, wszystkie główne osoby przybyłe na zabawę znalazły się w otaczającej go grupie.

Rinaldo obszedł tę grupę, podsuwając wszystkim z uniżonością swą tacę, i znalazł się niebawem przy Manuelu. Zamiast jednak podać młodzieńcowi chłodniki stanął nieruchomo i jał wpatrywać się weń z natężoną uwagą, jakby coś sobie przypominając.

– Cóż tak mi się przyglądasz, przyjacielu? – zapytał Manuel.

Rinaldo drgnął i zatoczył się, odgrywając znakomicie rolę człowieka schwytanego na gorącym uczynku. Taca wysunęła mu się z rąk, kryształowe naczynia rozbiły się z brzękiem na posadzce.

Hałas przyciągnął w tę stronę większą część gości. Hrabia miał już publiczność, której pragnął i której potrzebował.

– Niezgrabiaszu! – krzyknął na Rinalda.

Służący przyjął obelgę bez zmrużenia oka i przystąpiwszy do swego pana, szepnął mu coś na ucho.

– Czy wiesz, kochany bracie – przemówił głośno Roland do Manuela – co tak bardzo człowieka tego przeraziło?

– Nie zgaduję, doprawdy – odparł spokojnie młodzieniec.

– Oto wydało mu się, że cię zna.

– To bardzo możliwe. Ja wszakże go nie znam.

– Mówi nawet – nacierał Roland – że jest pewny swego i dodaje...

– Cóż takiego dodaje?

– Że nie jesteś moim bratem.

Nadzwyczajna ciekawość objawiła się w tłumie. Świetne grono węszyło skandal. Manuel doświadczył jakby ogłuszenia. Zapanował nad sobą i zmuszając się do uśmiechu, wyjąkał:

– Twoi służący są nie lada żartownisiami.

– Baczość! – mruknął do siebie Cyrano. – Wilk zrzuca jagnięcą skórę.

Rinaldo stał w środku grupy, do której przyłączali się coraz nowi goście. Manuel zbliżył się doń, położył rękę na jego ramieniu i patrząc oko w oko, wyrzekł z naciskiem:

– No, przyjacielu; przypatrz mi się dokładnie i powiedz z łaski swojej, kimże to ja jestem, jeśli nie wicehrabią Ludwikiem?

Lokaj miał minę zakłopotaną.

– Z przeproszeniem jaśnie pana – rzekł z maskowaną ironicznie beczelnością – jaśnie pan jest Szymon Vidal.

– Szymon Vidal, syn ogrodnika z Fougérolles! – zaśmiał się szyderczo Cyrano. – Paradny koncept, ani słowa!

– Tak – ponowił Rinaldo – mały Szymuś, który zginął równocześnie z naszym droгим paniczem.

Cyrano wzruszył ramionami.

– Ten człowiek mówi od rzeczy – zwrócił się do Manuela. – Nie ma co mu odpowiadać.

– Mnie to zostaw, kochany Cyrano. Trzeba, żeby wszyscy byli sędziami mego honoru.

I przystępując ponownie do Rinalda, rzekł z mocą:

– Twoja pamięć, kochanku, jest zanadto wierna, a raczej zanadto usłużna. I po czymże poznajesz tak niezawodnie Szymona Vidal, który był dzieckiem pięcioletnim, gdy zniknął z domu?

– Dlaczegoż nie miałbym go poznać? Byłem w jego wieku i zapamiętałem go doskonale. Wszystkie jego rysy rozpoznaję w pańskich, które od tygodnia badam z uwagą. Gdyby mi zresztą pozostawała jeszcze jaka wątpliwość, jeden szczegół wystarczy do jej usunięcia. Pewnego razu, bawiąc się z Szymusiem, rozciąłem mu czoło kamieniem. Rana była szeroka i głęboka, wybornie pamiętam.

I przy tych słowach, wyciągając rękę do czoła Manuela:

– Otóż blizna! – oświadczył z przerażającym spokojem.

Teatralna ta scena wzbudziła szmer wśród obecnych.

– Nędzniku! – wrzasnął Manuel – zapłacono ci, abyś wygłosił te nedorzeczne oszczerstwa! Bracie mój, w imię prawdy i

sprawiedliwości wypędź tego zuchwalca!

Roland odpowiedział wybuchem wzdargliwego śmiechu. Na niego przyszła kolej zabrania głosu w tej tragikomedii podstępów i podłości.

– Precz z maską, panie! – wyrzekł wyniośle. – Człowiek ten powiedział prawdę. Od tygodnia już haniebnie mnie zwodzisz.

– Co on mówi? – jęknęła Gilberta, która śledziła tę scenę z przestachem, pozbawiającym ją prawie przytomności.

– Zastanów się, co czynisz, Rolandzie! – wtrącił się surowo Cyrano, nie dając czasu do odpowiedzi swemu protegowanemu.

– Nie przeszkadzaj, Bergeraku. Od trzech dni wiadomo mi już dokładnie, że ten, co się bratem moim mianuje, jest oszustem; od trzech dni powstrzymuję z wysiłkiem gniew i oburzenie. Świadek służący jest niewystarczający, przyznaję to, ale dzięki wytrwałym poszukiwaniom, badaniom i pogrożkom udało mi się zdobyć inne, bardziej przekonujące i straszniejsze. Pewny, że winowajca już mi się z rąk nie wymknie, pozwoliłem mu przez pewien czas broić bezkarnie; zamiarem moim było od początku zedrzeć publicznie maskę z nikczemnika, napiętnować go w oczach całego grona ludzi uczciwych, którzy widzieli, jak zwiedziony na chwilę szatańskim podejściem, przyciskałem go do piersi jak brata. Tamto przyjęcie było jawne i głośne; jawną i głośną musi być też kara.

Manuel schronił się instynktownie pod opiekę Cyrana.

– Sawiniuszu! Sawiniuszu! – szeptał z trwogą – broń mię³¹, bo

³¹ *mię* – dziś: mnie. [przypis edytorski]

nie mam już nic do powiedzenia, bo czuję, że zginąć muszę.

Cyrano był zawsze gotowy do odparcia ciosu.

– W straszną grę wdałeś się, hrabio de Lembrat – rzekł z mocą. – Zaniechaj jej, póki czas. Dowody tożsamości Ludwika istnieją, w moich zaś rękach znajduje się broń, której doniosłości nie znasz jeszcze. Jest nią testament twego ojca.

– Wprowadzono cię w błąd, mój Cyrano, jak nas wszystkich. Ten człowiek nie należy do rodziny de Lembrat; nadużył on twej dobrej wiary i twego dobrego serca. Ty sam, nie mając dość siły, aby oprzeć się pierwszemu wzruszeniu, ośmieliłeś bezwiednie oszusta, którego ofiarą ja paść miałem.

Wypowiedziane to zostało ze zdumiewającym spokojem. Roland de Lembrat był strasznym zapaśnikiem.

– A podobieństwo Ludwika do ojca? – nacierał kipiący gniewem poeta – a piśmienne dowody? Cóż na to powiesz?

– Nic zgoła – zakończył zimno Roland. – Wykryłem i udowodniłem oszustwo; do pana starosty należy wymierzyć winowajcy sprawiedliwość.

– A, to i pan starosta do dzieła należy? Winszuję ci, Rolandzie, wszystko umiał przewidzieć i przygotować.

Na te słowa wystąpił czcigodny Jan de Lamothe i z zadowoleniem wewnętrznym, którego nie starał się ukrywać, wyrzekł:

– Tak, mój panie, wszystko zostało przewidziane. Nic nie ujdzie wzroku sędziego: słyszysz, waćpan? Nic! Pomyśl waćpan nad tym. Od trzech dni, uprzedzony przez pana de Lembrat,

pracowałem w pocie czoła, aby zburzyć, coś waćpan zbudował. Powiodło mi się. Poleciałem uwięzić i poddać badaniu pańskich wspólników.

– Moich wspólników! – wrzasnął Cyrano. – Przez Boga żywego! Mości starosto, okiełznaj swój język, jeśli nie chcesz, abyśmy się na serio pogniewali ze sobą!

Przed groźnym gestem wojowniczego autora *Podróży na księżyc* Jan de Lamothe uważał za właściwe cofnąć się kilka kroków w tył.

– Powoli, panie de Bergerac – zaśpiewał, przedzieliwszy się od poety wystarczającą przestrzenią – ja, mój panie, nie jestem awanturnikiem. Mnie nie przezywają Kapitanem Czartem. Mogę przedstawić waćpanu dowody, że hrabia de Lembrat postąpił, jak mu obowiązek honoru nakazywał postąpić.

– I jakież to dowody, mości sędzio?

– Zeznania świadków.

– Jakich świadków?

– Ben Joela i jego siostry.

– Ach, Ben Joela! – wykrzyknął radośnie Manuel – jestem ocalony!

Cyrano krzyknął nań z gniewem:

– Dzieciaku naiwny, nicze nie pojmujesz³²?!

Manuel w istocie nic zgoła nie pojmował. Nie domyślał się on nawet, jak głęboka jest przepaść, do której go wtrącono.

³² *nicze nie pojmujesz* – konstrukcja z partykułą -że; znaczenie: czy nic nie pojmujesz.
[przypis edytorski]

Otworzyły się drzwi, do salonu wprowadzono Ben Joela i Zillę. Manuel postąpił kilka kroków ku nim. Ale nagle, spotkawszy ich spojrzenia, zadrżał, stanął w miejscu i pobił śmiertelnie.

Twarz Bena Joela była pokryta chmurami jak niebo jesienne; twarz Zilli była marmurowa.

Manuel uczuł się w tej chwili całkowicie, nieodwołalnie zgubiony. Cyrano przeciwnie, zdawał się przyjmować porażkę obojętnie. Z zimną krwią rozsiadł się na krześle i śledził dalszy przebieg intrygi.

XIII

Para włóczęgów zatrzymała się na progu.

– Zbliźcie się i mówcie prawdę.

Ben Joel obiegnął badawczym spojrzeniem całą grupę, potem lisiem krokiem przepętnął do stolika, gdzie królował Jan de Lamothe i pełnym uniżoności głosem odpowiedział:

– Jego wielmożności, jasnemu panu staroście wiadomo już, że wyznawszy przed nim całą swą winę, nie potrzebuję obawiać się jego surowego sądu.

– O tym później. Czy znasz tego człowieka?

Cygan obrócił się do Ludwika, którego wskazał mu starosta.

– Znam – odrzekł po prostu – to mój towarzysz Manuel.

– Bardzo dobrze; ta szczerłość będzie ci policzona. Opowiedz teraz tym panom z tą samą otwartością, z jaką czyniłeś wyznanie przede mną: co cię skłoniło do przedstawienia tego Manuela za młodego Ludwika de Lembrat?

– Tak, nicponiu, wyznaj to głośno – wtrącił Roland – bo ja to głównie padłem ofiarą twojej nieuczciwości.

Opryszek odpowiedział tonem swobodnym, prawie lekkim:

– Ach, jasny panie, czyn mój łatwo da się usprawiedliwić. Przypadek zbliżył mnie do pana de Bergerac, gdy zaś dostrzegłem, że pan de Bergerac, na zasadzie pewnych szczególnych okoliczności, domniemywa się w Manuelu wicehrabiego Ludwika de Lembrat, postanowiłem skorzystać

z jego omyłki, aby zapewnić świetny los jednemu ze swych towarzyszków, o którym wiedziałem, że mnie przypuści do udziału w zyskach.

Ludwik, przybity do ziemi zeznaniem Ben Joela, zaczynał już wątpić sam o sobie.

– Piekielna maszyna! – nie mógł powstrzymać się od zauważenia Jan de Lamothe.

Cyrano, który siedział dotąd w zupełnym milczeniu, przy ostatnich słowach Cygana podniósł się i stając przed nim, groźnie zawołał:

– Kogo ty chcesz wywieść w pole, Egipcjaninie przeklęty? To musi być wyjaśnione.

Brat Zilli zgiął się z uniżonością nieco ironiczną przed pytającym i odrzekł:

– Mówię świętą prawdę, jasny panie.

– Kłamiesz! – wykrzyknął wówczas Ludwik, wychodząc na chwilę z odrętwienia. – Czyż nie masz w ręku dowodów stwierdzających moje pochodzenie?

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.